

# Ilustracja Polska

we Francji

Cena - Prix

We FRANCJI . . . . 1.50

En FRANCE . . . . .

W BELGII . . . . . 2.00

En BELGIQUE fr b. . . . .

W HOLANDJI . . . . . 0.18

En HOLLANDE guld. . . . .

A DRES

Redakcji i Administracji

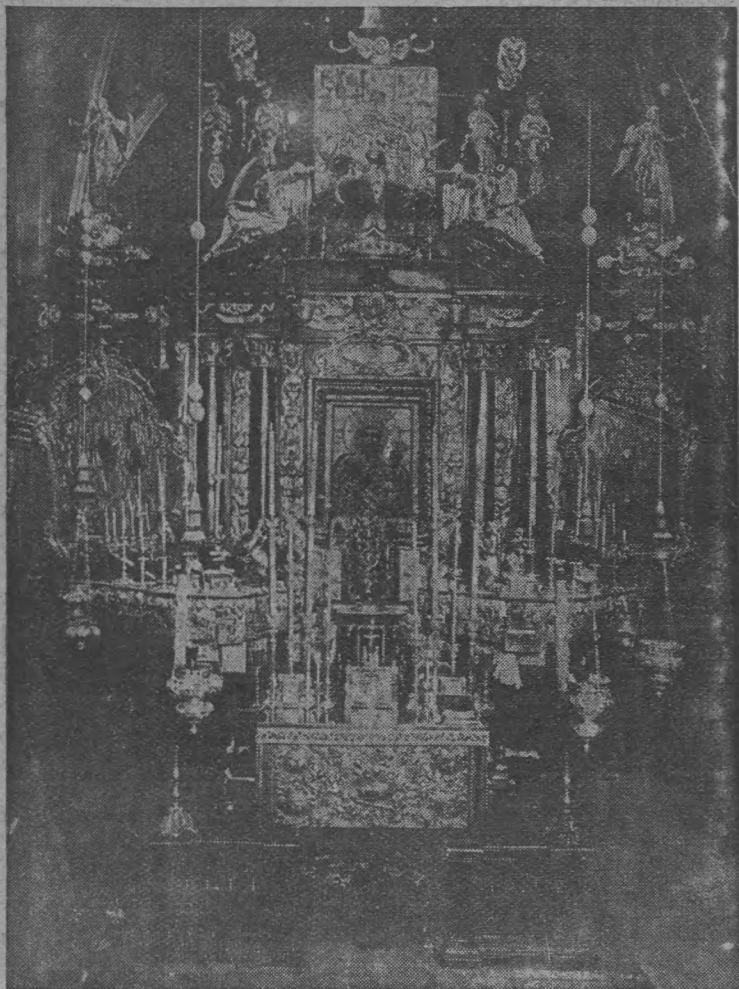
101, Rue Emile - Zola, 101.

L E N S (Pas-de-Calais).

Nr. 220.

10-go września 1939 r. — Le 10 Septembre 1939 .

Rok IX.



## Treść numeru 220:

### Z życia organizacyjnego Wychodźstwa.

Gdy Tow. Gimn. „Sokół” w Potigny (Calvados) obchodziło swą 10-tą rocznicę. — Polki z Potigny. — Dzieci polskie z Le Martinet na wycieczce. — Pamiątki obchodu 10-tej rocznicy Bractwa Róż. Żywego w Algrange. — Ulubione miejsce wycieczkowe Rodaków we Wschodniej Francji. — Poezje naszych Czytelników i Czytelniczek.

### Z wydarzeń w Polsce przed napadem armii niemieckiej.

Polskie samoloty odleciały na międzynarodowe zawody lotnicze państw bałtyckich. — P. Jadwiga Piłsudska na zawodach kowieńskich. — Wicepremier E. Kwiatkowski na wizytacji w mennicy państwowej. — Pińsk podczas „Dni Polesia”. — Górska „linia Maginota” z ludu gór polskich.

### Dla dzieci i młodzieży.

Największe miasta w Polsce. — Szczurzy nosek. — Jak nawet małe dzieci mogą radować swoich rodziców. — Skoczek pan Kos. — Las szumi — Deszczyk.

### O dobrym górniku i chciwym młynarzu.

Legenda.

### Humor.

Strona rozmaitych dowcipów.

### Wspomnienie niedawnych, wesołych chwil.

Dziewczęta polskie w Paris - Plage.

### Zakliczyn nad Dunajcem.

Miasto emigrantów i reemigrantów.

### Nasi skrzydlaci przyjaciele.

Ptaki - towarzysze wieśniaka. — Bociany, jaskółki, skowronki, zwiastunami dobrych wieści.

Wnętrze kaplicy klasztoru jasnogórskiego, z Cudownym Obrazem Matki Boskiej.

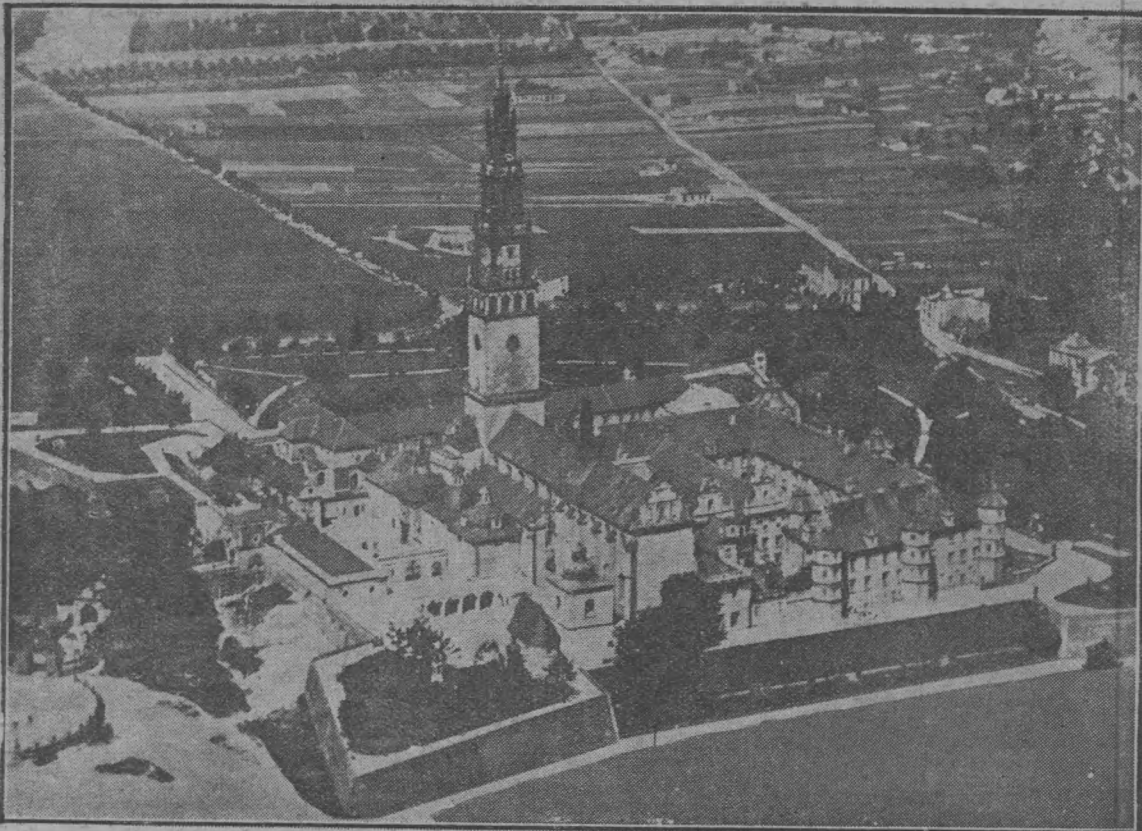


Zdjęcie Jasnej Góry z samolotu, doskonale uwidacznia mury forteczne, otaczające klasztor z bastionami po rogach. Stary klasztor został napół zniszczony przez bomby niemieckie. — Cudowny obraz, który ocalał, umieszczono w bezpiecznym miejscu.

Fot. Aerolot, ze zbiorów Min. Komunikacji.

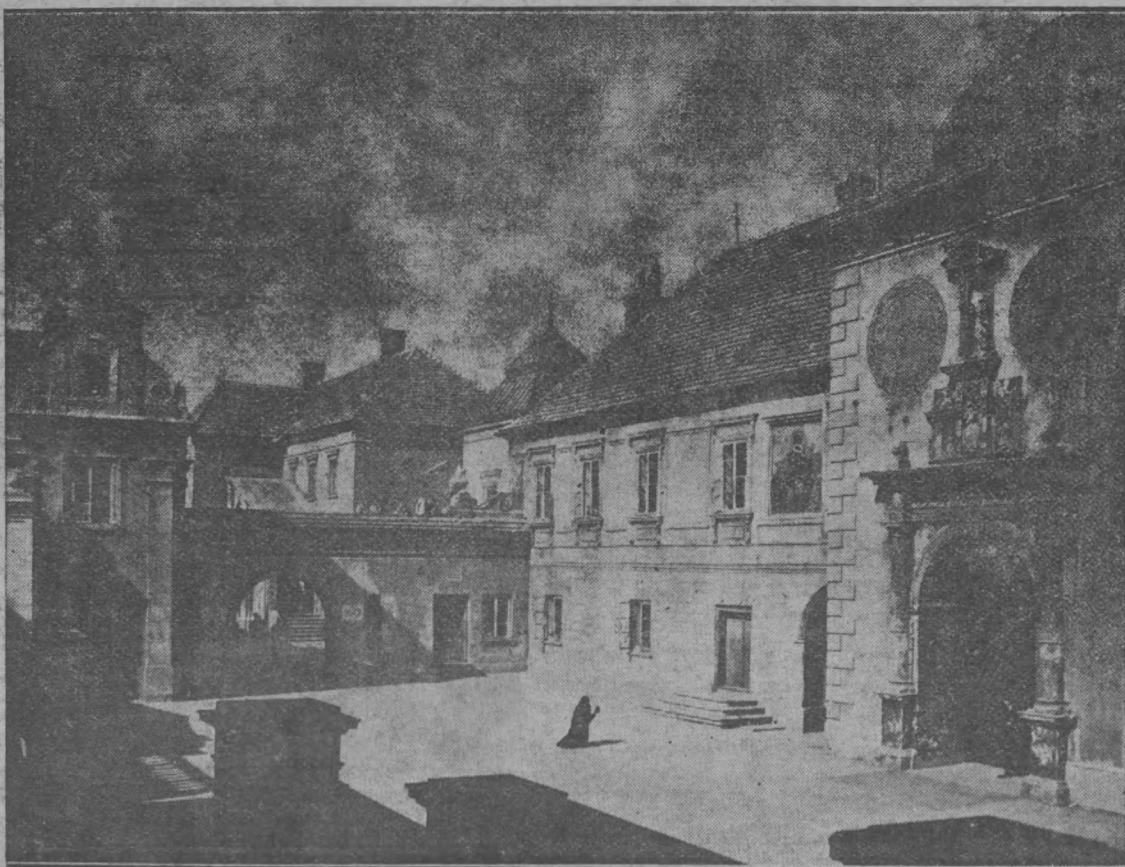
## Świątokradzka ręka niemiecka targnęła się na Jasną Górę!

Od szeregu dni nad polską ziemią i jego ludem pastwi się w okrutny sposób odwieczny nasz nieprzyjaciel Niemiec, który dąży ponownie do pozbawienia Polski niepodległości. Barbarzyńskie czyny najeźdźcy spotykają się z zgodnym potępieniem w całym świecie cywilizowanym. Wśród licznych miast polskich, które padły ofiarą nieludzkiego bombardowania, znajduje się najdroższa sercu każdego Polaka świętość narodowa — Częstochowa. Za to świętokradztwo nie minie wroga zasłużona kara Niebios.



Widok zewnętrzny kościoła oraz „Pokoje Królewskich”, gdzie polscy monarchowie mieszkali podczas pobytu na Jasnej Górze.

Fot. S. Poddębski.

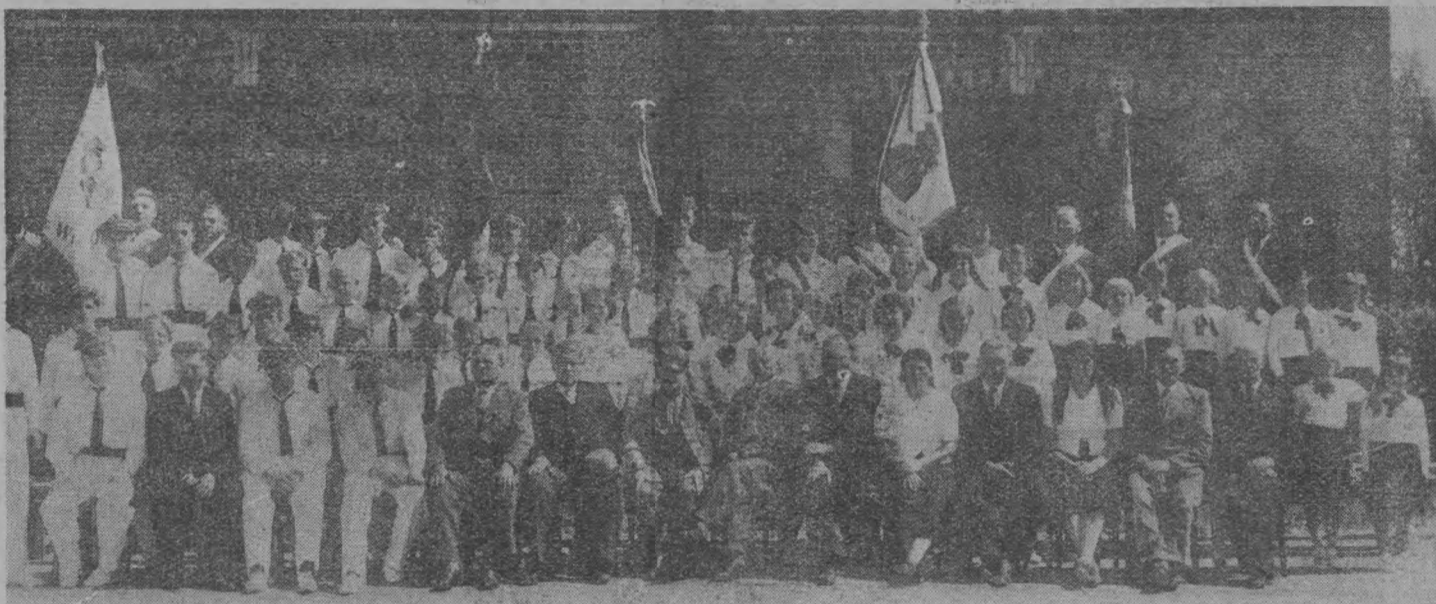


FOP 1792

# Z życia organizacyjnego Wychodźstwa Polskiego we Francji.

**Gdy Tow. Gimm. „Sokół” w Potigny (Calvados) obchodziło swą 10-tą rocznicę.**

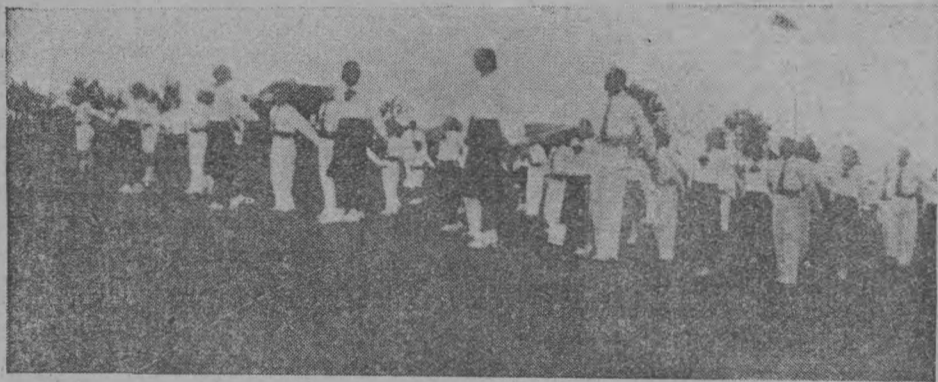
Z okazji 10-tej rocznicy istnienia Sokoła w Potigny, odbyła się piękna uroczystość, w której publiczność wzięła bardzo liczny udział. Na pamiątkę uroczystości odbyła się wspólna fotografia wszystkich członków, członków i gości. Fotografiją tę reprodukowujemy.



→  
Gniazdo „Sokoła” w Potigny z sztandarami organizacji, które uczestniczyły w uroczystości.

Poniżej:

Ćwiczenia ogólne Sokolic i Sokołów na obchodzie 10-lecia Tow. Gimm. „Sokół” w Potigny.



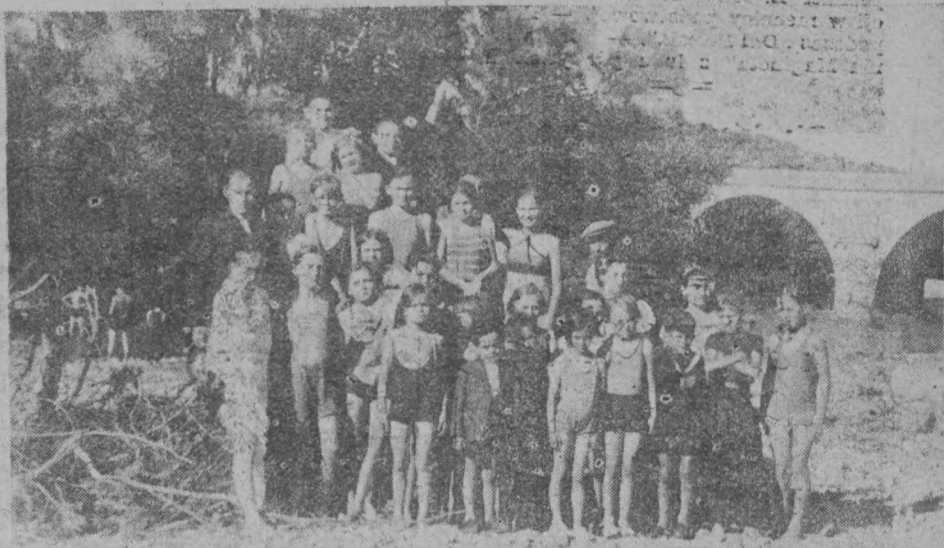
Ćwiczenia Sokolic na 10-leciu „Sokoła” w Potigny.

Polki z Potigny.



Zarząd Koła Polek Potigny, delegacja z sztandarem i polskie dzieci w strojach ludowych.

Dzieci polskie z Le Martinet (Gard) na wycieczce.



Na tle pięknej panoramy dokonana została powyższa fotografia dzieci polskich, w czasie wycieczki, o której mali uczestnicy i uczestniczki długo pamiętać będą.

Foto: Fr. Wrona, Le Martinet.

## Pamiętki obchodu 10-tej rocznicy Bractwa Róż. Żyw. w Algrange (Moselle).



Bractwo Różańca Żywego w Algrange obchodziło uroczystość 10-letniego istnienia swojej organizacji, połączone z poświęceniem nowego sztandaru. — Na zdjęciu widzimy nowo poświęcony piękny sztandar Bractwa w Algrange.



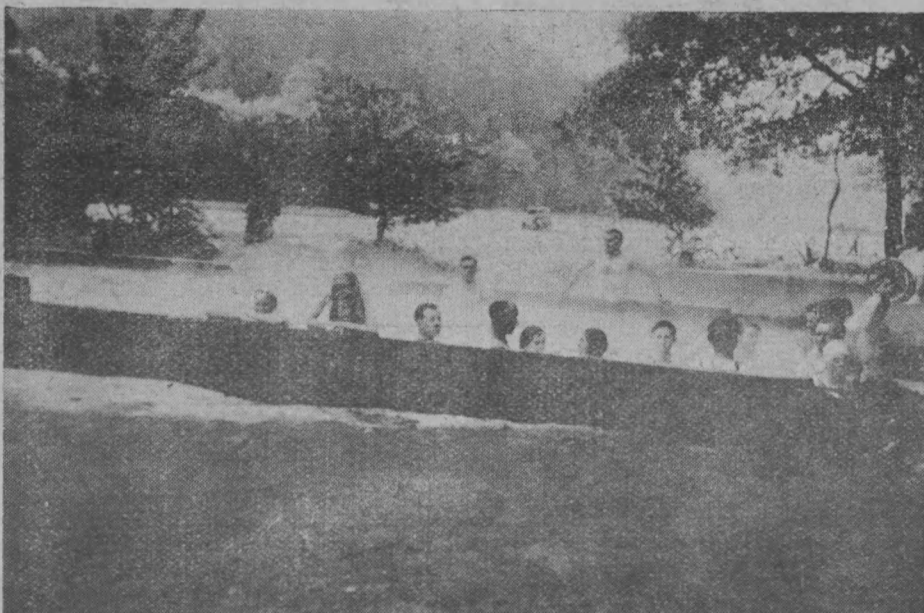
Procesja w czasie uroczystości poświęcenia sztandaru w Algrange. Na przodzie kroczą, od lewej do prawej: p. Mosiek, znany we Wsch. Francji działacz, ks. Makiela, ks. dziekan Rogaczewski, ks. francuski i ks. Soczówka.



Na uroczystości „Dnia Matki”, zorganizowanej przez Kolo Polek w Eysden, wyróżniono najstarszą i najmłodszą członkinię, które przed stawia nasze zdjęcie. Najstarszą członkinią, jest p. Katarzyna Gendrowa, lat 66, najmłodszą p. Maria Śladerska, lat 19.



Wycieczkowicze przy ciepłym źródle.



Grupa rodaków zażywa kąpieli w basenie przy ciepłym źródle.

### Ulubione

#### miejsc wycieczkowe Rodaków ze Wsch. Francji.

Celem wycieczek towarzystw polskich we Wschodniej Francji jest bardzo często t. zw. „ciepłe źródło” w pobliżu Hayange.

## POEZJE naszych Czytelniczek i Czytelników.

### Raduje się serce.

Raduje się serce,  
Raduje się dusza  
Kiedy Polska Armia  
Na wojenkę rusza...  
Oj da, oj, da-dana,  
Ty armio kochana,

Ty żeś swej ojczyźnie  
— Wierna i oddana.  
Oj da, oj da-dana,  
Wierna i oddana.

Najprzód maszeruje  
Szykownie piechota  
A ma ona serce  
Ze szczerego złota.  
Oj da, oj-da itd.

Serce ma ze złota,  
Podniosłego ducha.  
Pilnie z nad granicy  
Szmerów wrogich słucha.  
Oj da, oj da - dana itd.

Tak jak polski żołnierz  
Nie masz bohatera,  
Który za Ojczyznę  
Z uśmiechem umiera!...  
Oj da, oj da-dana itd...

Ale zanim umrze,  
Zostawi pamiątkę...  
Mówią o nim potem  
Ze... sprzątnął dziesiątkę.  
Oj da, oj da-dana itd.  
St. Wilczyński, Auboue.

### Do roboty!

Hej, Polacy, do roboty,  
Ująć w dłonie — mocno młoty!  
Kuć Ojczyźnie wielkie dzieło  
Bo Ojczyzna — naszą chwałą!  
Niechaj każda dłoń  
Ukuje Jej broń!

Wysiłek to bardzo mały,  
Dla Ojczyzny naszej chwały:  
Ojczyzna to Matka droga  
Dana nam przez Stwórcę — Boga!  
Więc dla Niej trza żyć  
Prawym dzieckiem być.

Dziecko prawe matkę kocha  
Nie zastąpi jej macocha,  
To jest faktem, o czym wiecie,  
Bez swej matki, smutne dziecię.  
Tęskny wzrok wciąż ma  
Wciąż go zrasza łza.

A więc wszyscy duży, mały,  
By się w pracy prześcigali,  
W pracy czynów dla Ojczyzny.  
Bracia w kraju i z obczyzny.  
Do roboty wraz,  
Bo już wielki czas!...  
St. Wilczyński.

### O wicherze...

Skarżą się liście na swą dolę smutną,  
Ze im tak szaro i źle jest na świecie,  
Ze tak bez celu wiatr gdzieś nimi miecie  
Na taką porę słotną okrutną...

Skarżą się liście, że r. bardzo źle,  
Ze lecą zda się gdzieś w otchłań bezdenną,  
W głuchą wichurę dżdżystą, nieznośną —  
Takie samotne na deszczu we mgle...

Skarży się serce me smutno i żałośnie  
Z tym wichrem letnim, w którym  
bóle jęczą —  
Bo w głębi mej duszy jeszcze ciągnę  
[dźwięczą  
Wspomnienia - marzenia jasne o kwiatach  
[i wiosnie...  
Wojciech Augustyn,  
Bollwiller (Haut-Rhin)

### Miłość...

Gdy na pastelowym niebie ognista masa  
[słonka się topi --  
śląc światom flory, fauny i ludziom  
[całunki upojne.  
Wśród egzotycznej kruży kropel rosy  
[i mgławych tajemnic  
Wysuwają ząbki swych różowych  
[płatków jerychonki strojne.

Wiem, że miłość podobną jest do tego  
[wonnego kwiatu...  
Wprowadza nas na chwilę w krainę  
[rajskich snów,  
gdy jerychonka będzie nucić swoją krasą  
[i opadnie —  
Drzę i płacę, że miłość uleci i szarżyna  
[wróci znów...  
Wojciech Augustyn,  
Bollwiller (Haut-Rhin)

### Trudem rąk własnych.

(Wiersz przeznaczony na konkurs organizowany przez Bank P. K. O.)

Przed paru laty w świat wywedrował,  
W mozolnej pracy rąk nie żałował.  
Oblany potem z wysiłku cały,  
Rąbał oskardem podziemne skały.

Gdy z pracy wracał do dom znużony,  
Myślą odbiegał w ojczyście strony.  
Wracać do kraju cnetka go parła,  
Tak go za naszymi tęsknota żarła.

Ciężko się ze swym losem borykał...  
W karty nie grywał, knajpy unikał,  
Z tym sposobem ciulacze grosze  
Skrzętnie w P. K. O. składał potrosze...

Wreszcie Walenty po trudach wielu,  
Tą oszczędnością dopiął swych celów.  
Ciężką w kopalni pracę porzucił,  
Podjął gotówkę, do swoich wrócił.

Dziś ma Walenty zagrodę własną,  
Chatę nowiutką, obszerną, jasną...  
Ma też dwie krówki dojne w oborze,  
Przytem dostatek wszelki w komorze.

Otóż Walenty, wybrnąwszy z biedy,  
W Ojczyźnie własnej jest panem schedy,  
W tem nic dziwnego, że się tak stało  
Bo oszczędności składał w P. K. O.  
Ludwik Chwistek, Joudreville  
(M. et M.)

### Błogosławione niech będą...

Błogosławione niech będą te Matki,  
które w miłości chowają swe dziatki:  
wybladłe lica, spracowane dłonie;  
głowa schylona w pokornym poklonie...

Hen przed Majestat Boga Najwyższego  
Slesz, Matko, modły za syna swego,  
Który na rozkaz Wodza w imię Boga,  
poszedł, by bronić Ojczyzny proga.

Serce Twe, Matko, miłością goreje  
Syn Twój do Ciebie, jak, dziecię się śmieje,  
Gdy na Twym czole składa pocałunek  
i z rąk Twych drżących bierze wizerunek.

Matki Najświętszej Częstochowskiej Pani,  
która wśród boju kieruje kulami.  
Ona swą mocą dokonuje cudu,  
daje zwycięstwo dla Polskiego Ludu.

Błogosławione bądźcie, drogie Matki,  
Wyscie szczęśliwe, bo dziś Wasze dziatki  
Stoją na straży, by wytrwać do końca  
Broniąc Ojczyzny i Wolności Słońca.

Wszędzie, gdzie dziatki Matka ukochana,  
Czy do snu kładzie, czy też budzi z rana  
Polskich pacierzy szepcząc ciche słowa,  
Niech Stwórca dziatki te polskie zachowa.  
Zawierta Jan, Mulhouse.

### Dożynki polskie.

Coś mi się tak przypominają  
Te nasze polskie dożynki  
Te kłosy z kwiatami  
I zniwiarzy piosenki.

Te ziola pachnące, które ksiądz błogostawi,  
W dniu „Cudu nad Wisłą”  
W dniu, w którym dla całej  
Polski zwycięstwo zabłysło.

I te wieńce ozdobnie splecione  
Czterema końmi na wozach wione  
I te wspólne radosne dożynki  
Płasy dziewcząt z chłopcami  
Przeplatane piosenkami.

„A, nasz gospodarzu, nalewaj piweczka  
Bo pięknego zboża pełna stodołeczka!...”  
Gdy wróg nas zaczęł, znów kosić pójdziemy  
z dobrym gospodarzem Marszałkiem na czele  
I nieprzyjaciela wysieczerz głów wiele.  
Gdybym skrzydła miała, to bym poleciała  
Na polskie dożynki, posłuchać piosenki...  
Staśka Uchwat, Laeres (P. de C.)

### Jeśli są...

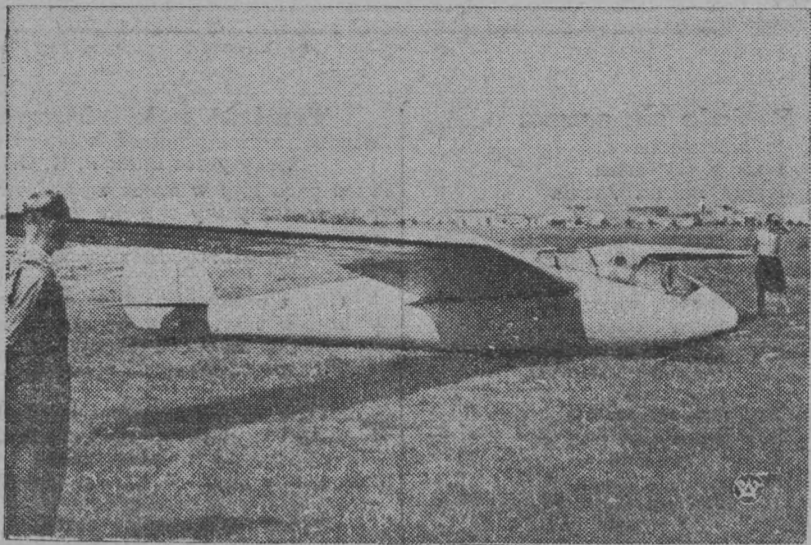
Jeśli są zdrajcy pośród nas,  
Żeby w nich zaraz piorun trzasł!  
Niech złamią ręce i nogi.  
Zanim zdradzą kraj nam drogi!

Niechaj ich piekło pochłonie,  
Niech popękają im skronie...  
Niech ich cholera udusi,  
Wszak dla zdrajców tak być musi!

Jeśli by z naszych, taki był  
Niech zaraz zrobi krok w tył...  
Kłątwa takiego ominie.  
I straszną śmiercią — nie zginie!  
St. Wilczyński, Auboue.

# Z wydarzeń w Polsce

przed napadem armii niemieckiej.



Polskie samoloty odleciały na międzynarodowe zawody lotnicze państw bałtyckich.

Z lotniska Mołotowskiego wystartowało do Kowna 6 samolotów i szybowców z Aeroklubu Warszawskiego, celem brania udziału w Międzynarodowych Zawodach Lotniczych Państw Bałtyckich. Razem odleciało do Kowna 13 osób. Jak wiadomo Polskie Linie Lotnicze

„Lot” ufundowały na powyższe zawody cenną nagrodę przechodnią — piękny puchar stylizowany.

Na zdjęciu: Jeden z motoszybowców, biorących udział w Zawodach Lotniczych w Litwie, gotowy do startu, z pola Mokotowskiego.



P. Jadwiga Piłsudska na zawodach kowieńskich.

Podczas zawodów lotniczych państw bałtyckich w Kownie, jako pilotka szybowcowa brała w nich udział p. Jadwiga Piłsudska.

Na zdjęciu — od prawej — poseł R. P. w Kownie, min. Charwat, p.

Jadwiga Piłsudska, p. Mitkiewiczowa, żona attaché wojsk. R. P., p. Charwatowa, prof. Zemejtis, prezes Aeroklubu Litewskiego i plk. Wojtarowicz — szef ekipy polskiej.

★



Wicepremier E. Kwiatkowski na wizytacji w mennicy państwowej.

Na podstawie zawartego ostatnio porozumienia między Skarbem Państwa a Bankiem Polskim o podwyższeniu emisji bilonu o 50 miln. zł. Mennica Państwowa przystąpiła do bicia monet nowego transportu srebra. W związku z przygotowaniem przez nią pierwszego zapasu monet,

udał się w towarzystwie prezesa Banku Polskiego p. Byrki, p. wicepremiera inż. Kwiatkowskiego, do Mennicy Państwowej i przeprowadził lustrację poszczególnych działów.

\*\*\*

Moment oglądania przez p. wicepremiera Kwiatkowskiego w sorto-

wni monet przygotowanych do puszczania w obieg. Z prawej strony wicepremiera stoi p. prezes Byrka, z lewej — dyrektor Mennicy Państwowej, p. Zagrodzki.

\*\*\*

Wicepremier inż. Kwiatkowski przed transportem sztab srebrnych.

Stoją od lewej do prawej: Prezes Banku Polskiego p. Byrka, pośrodku wicepremier inż. Kwiatkowski, obok z lewej dyr. Mennicy Państwowej inż. Zagrodzki. Między wicepremierem a dyr. Zagrodzkim — wicedyrektor Mennicy Państwowej, p. Szumski.



Pińsk podczas „Dni Polesia”.

Pińsk żył niedawno pod wrażeniem „Dni Polesia” i otwartego tradycyjnym zwyczajem. Jarmarku Poleskiego. Pawilony na Jarmarku udekorowane zostały kwiatami i zielenią.

W tym roku na zjazd do Polesia przygotowano szereg imprez. W spe-

cialnie zbudowanym pawilonie regionalnym umieszczono zbiory poleskiej sztuki zdobniczej, zorganizowano również „Targi na łodziach”, które są jedną z największych, niespotykanych nigdzie atrakcyj.

Poleszacy przybyli na swych łodziach na Jarmark Poleski.



Górska „linia Maginota” z ludu gór polskich.

„Bohaterskie piersi ludu górskiego stworzą wzdłuż południowej granicy Rzeczypospolitej niezwyciężony mur — górska „linia Maginota” — której żaden wróg nie zmoże”.

Hasło to stało się głównym motywem pracy wszystkich instytucji i organizacji, zrzeszonych w Związku Ziemi Górskich, którzy powoli, lecz systematycznie realizują opracowa-

ny przez siebie wielki plan rozwoju górskich ziem Rzeczypospolitej przez podźwignięcie gospodarki rolnej, uprzemysłowienie Karpat, rozwój kultury z zachowaniem bezcennych form starej kultury ludowej, materialnej i duchowej.

Grupa Huculów z Mikuliczyna i Zabiega.

★

## DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

## Największe miasta w Polsce.

Jakie są największe polskie miasta?

Popatrzcie na mapkę: w samym niemal środku Polski leży stolica polskiego państwa — Warszawa. Jest to największe miasto w Polsce, liczące 1 milion 232 tysięcy mieszkańców. Wyobraźcie sobie, dzieci, że są na świecie państwa, które mają mniej ludności, niż jedno polskie miasto, Warszawa. Na przykład Estonia, państwo położone nad Bałtykiem, nawet nie tak daleko od Polski, ma 1 milion 100 tys. ludności, a więc mniej od stolicy Polski.

Poza Warszawą jest w Polsce jeszcze 12 wielkich miast, z których każde liczy ponad 100 tys. mieszkańców. Na zachód od Warszawy leży drugie z kolei co do wielkości miasto polskie — Łódź, mająca 653 tysiące mieszkańców, największy ośrodek przemysłowy i fabryczny w Polsce. Następnie idzie piękne miasto Lwów, położone na południowym wschodzie polskim. Lwów jest jedynym miastem polskim, które zostało odznaczone za dzielną obronę, w 1918 roku, najwyższym orderem wojskowym: *Virtuti Militari* („Za dzielność żołnierską”). Lwów ma 317 tys. mieszkańców.

Dalej idzie stolica Wielkopolski, Poznań (265 tys. mieszkańców), stary polski gród, najbardziej polski ze wszystkich polskich miast. Następnie Kraków (242 tys.), także da-

wna stolica Polski, miasto najbogatsze w historyczne zabytki, jak zamek królewski Wawel, Sunkiennice, kościół Mariacki itd. Szóstym co do wielkości, jest Wilno (208 tys.), położone na północnym wschodzie, miasto historyczne, głęboko patriotyczne i religijne. Tu wychowywał się i działał największy poeta polski Adam Mickiewicz. Tu się znajduje cudowny obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Wreszcie następują po sobie według wielkości: Bydgoszcz (133 tys.); Częstochowa (133 tys.), słynna na całym świecie, dzięki Cudownej Matce Boskiej Jasnogórskiej; Katowice (132 tys.) stolica Śląska, ważny ośrodek przemysłowy i fabryczny; Sosnowiec (124 tys.), przemysłowe miasto w Zagłębiu Dąbrowskim; Lublin (116 tys.), położony niedaleko Warszawy, w samym środku państwa — tu znajduje się jedyny w Polsce Uniwersytet katolicki; Chorzów (108 tys.), fabryczne miasto śląskie i wreszcie chluba i duma Polski Gdynia, polski port nad Bałtykiem, która właśnie w tym roku przekroczyła cyfrę 100 tys. mieszkańców.

Dzisiaj nad miastami polskimi zawisła żałoba. Niemal wszystkie wyżej wymienione miasta ucierniały od bomb niemieckich i setki ludzi poniosło śmierć. Zmówcie kochane dzieci, paciorki za ich dusze.

## Jak nawet małe dzieci mogą radować swoich rodziców.

Mała Jadwisia ma zaledwie trzy lata, dlatego już o 7-mej godzinie wieczór idzie spać, odmówiwszy z matką paciorki. Już zamknęły się jej oczka niebieskie, gdy matka przyśpiewuje jeszcze raz do łóżeczka — a że dziecko leży spokojnie, myśli matka, że ono śpi. Kłęką więc i modli się po cichu, a że ma wielką troskę i zmartwienie, płacze gorzko, oddając wszystko Panu Bogu.

Jadwisia otwiera oczka, spogląda na matkę, podnosi się na łóżeczku i obejmuje głowę matki swymi rączkami, pytając: — Czy mama chora? Może co boli mamę?

— Moje dziecko, ja się modlę, śpij spokojnie — mówi matka.

— Ale mama płacze, dlaczego mama płacze? Kto mamie zrobił coś złego? — pyta mała dziewczynka, gła-

ska matkę po twarzy i patrzy na nią bardzo troskliwie.

— Moje serce, ty teraz nie rozumiesz, mama ma zmartwienie, połóż się i śpij spokojnie!

Dziecko patrzy chwilę przed siebie potem podnosi się prędko, kłęką w łóżeczku, składa rączki i mówi: — Kochana Boziu, proszę Cię pięknie, pomóż mamie, Matko Boska, Jadwisia prosi Cię, bardzo pięknie! daj, aby mama nigdy nie płakała — i tak kłęką dzieciątko jak aniołek, zatopione w modlitwie. Potem przyciska się do matki: — Tak, mamó, teraz nie trzeba płakać, Jadwisia pomodliła się — a Bozia pomoże Ci.

I rzeczywiście dziecko potrafiło swym szczebiotem sprawić, że matka uśmiechnęła się radośnie, bo cieszy ją to bardzo, że jej mała Jadwisia wie już, gdzie trzeba szukać pomocy i że Pan Bóg najchętniej wysłuchuje modlitwy dobrych dzieci. Tak więc małe dziecko przyniosło pociechę i radość w zwątpiałe serce matki.



Czula Zosienka.

Zosienka płacze, czy wiecie dlaczego? Oto laleczka jej upadła i zbiła sobie czelo. Zosię boli ten upadek, jak gdyby ona sama się zraniła.

## Szczurzy nosek.

Czy wiecie, dlaczego Haneczkę nazywano w domu Szczurzym Noskiem? Na pewno nie zgadniecie, więc wam zdradzę tajemnicę, że ta siedmioletnia panienczka wyjadała ze słoiczek konfitury, wyciągała orzeszki z tortów i placzków, a rodzynki z bułeczek, że zdejmowała paluszkami kożuszki z garnuszków ze śmie tanką, oblizywała cukier — słowem, że ciągle czegoś kosztowała, coś lizła albo gryzła. Zupełnie tak jak szczurki, albo myszki, które zakradają się chętnie do każdej spiżarni.

Dzisiaj jednak nikt już Haneczki Szczurzym noskiem nie przezywa, bo dziewczynka poprawiła się ze swej wady i wcale nie jest lakoma.

A wszystko zaczęło się pewnego poranku, gdy mamusia postawiła na stoliku salaterkę z gorącym kompotem z moreli.

— O, coś dobrego — pomyślała Haneczka-Szczurzy Nosek i myk na krzesło, a z krzesła już łatwo palusz-

kiem dosięgnęła salaterki i dalej wyjadać delikatnie z brzegu morelki. Nagle stolik się zachwiał i salaterka przechyliła się gwałtownie, a gorący kompot wylał się na ręce Haneczki.

O, ile było płaczu, krzyku, jaki ból od oparzeń — tego nikt nie zdoła opowiedzieć! Co więcej, ile to wstydu najadła się dziewczynka, bo akurat tego dnia przyjechali wujostwo ze swymi dziećmi. Haneczka ręce miała obandażowane i leżała w łóżku i naturalnie i ciocia i wuj i kuzynki dowiedziały się o całym wypadku.

— Nie to jednak było największą karą dla Szczurzego Noska, ale cały tydzień spędzony w łóżku, zamiast w ogrodzie na zabawie z kuzynkami. Leżała Haneczka samiućka w domu i rozmyślała wiele, bardzo wiele. Wreszcie postanowiła nigdy bez pozwolenia mamusi niczego nie wyjadać. Minęły już dwa lata od tego zdarzenia i Haneczka dotąd dotrzymywała swego postanowienia.

## Skoczek pan Kos.

Nie był wcale ptakiem, chociaż nazywał się Kos. Właściwie to może nazywał się inaczej, ale cyrkowcy, którzy go znaleźli w pobliżu swego obozu w zimną noc, przezwali go Kosem, bo zanim jeszcze nauczył się mówić, to potrafił gwizdać. Wiedzieli tylko, że na imię ma Antoś, bo przy ubranku zawiniętym w małym węzłku znaleźli kartkę:

— Zaopiekujcie się moim Antosiem dobry ludzie.

Antoś Kos został więc w cyrku, chociaż — co tu dużo mówić — ludziom areny błaznom i trenerom dzikich zwierząt, poskromicielom lwów, to obce dziecko było tylko ciężarem. Sami musieli w pocie czoła pracować na swe utrzymanie i na żywność dla zwierząt, które pokazywali na jarmarcznych placach mniejszych i większych miasteczek.

Mieli jednak dobre serca i jakoś wychowali Antosia i chłopczyk teraz miał lat dziesięć. Pokazywał różne sztuki na koniu i na wielbłądzie. Na słoniach jeździł doskonale. Najlepiej jednak lubił skakać. Opierał się na długiej tyczce, orkiestra grała skocznie, a potem przerywała na chwilę. Cisza, aż zawarczał bęben, głucho i mocno. Na znak, Kos niby piłka rzucona niewidzialną ręką odbił się od ziemi i płynął w powietrzu, zakreślał całym ciałem długi łuk i na równe nogi stawał na piasku areny. Żeby jednak tak skakać, codziennie musiał długie, długie godziny ćwiczyć.

## LAS SZUMI.

Gdy jeszcze księżyc na niebie  
I na ziemi rosa lśni.  
Gdy jeszcze snem wielkim  
Przyroda śpi  
Któż budzi ją w ten czas?  
To szumi las...

Gdy w dzień upalny  
Słońce mocno praży,  
Gdy dźwięczą w polu  
Piosnki żniwiarzy,  
Kto wtóruje im w ten czas?  
To szumi las...

A gdy słonko już zachodzi  
I opadają mgły szare,  
Gdy dzień opuszcza już nas,  
Cóż pięknie szumi w ten czas?  
To szumi las...

## DESZCZYK.

Było ciepło, słonko grzało,  
Do ludzi się uśmiechało,  
Nagle chmura je zakryła,  
Deszczyk na ziemię spuściła.

Leci deszczyk, pada, rosi,  
„Daj mi wody” — kwiatek prosi,  
„Pić nam się chce” — szemrzą  
[drzewa,  
„Wody daj mi” — ptaszek śpiewa.

Pada deszczyk, wodę daje,  
Leci, padać nie przestaje,  
„Pijcie ptaszki, pijcie drzewa,  
Pijcie wszyscy” — szemrze, śpiewa.



Dzieci budują schrony przeciwlotnicze

Chłopcy szkolni w Berkshire (Anglia) wykorzystują wakacje na budowę schronów przeciwlotniczych. Schrony są już na ukończeniu.





# Wolne chwile

J. COURTHS-MAHLER.

## NIEWINNOŚĆ ZWYCIĘŻA

czyli

## Wyzwolenie pani Jutty

POWIEŚĆ

(przekład Eugenii Solskiej)

10)

— Jeszcze nie. Morderca Maltego v. Tübingen, Norbert v. Hall siedzi przede mną. Na pierwsze moje skinienie zostanie aresztowany.

Na czoło Norberta wystąpiły wielkie krople potu. Ogarnęło go przerażenie, lecz mówił sobie w duchu:

— Teraz trzeba zachować zimną krew, tu chodzi o głowę. Spokojnie, spokojnie!

— Wiedziałem odrazu, że pan żartuje, doktorze!

— O nie, pan wie doskonale, że sprawa jest poważna. Ludzi się pan tylko nadzieją, że mnie pan zwiedzie tym udanym spokojem. To się panu jednak nie uda. Jeżeli pan sobie życzy, to chętnie opowiem panu, w jaki sposób popełnił pan zbrodnię.

— Owszem, chciałbym to usłyszeć — zaśmiał się Norbert chrapliwie.

Doktor Diehl rozpoczął:

— Dwa lata temu, czternastego maja, miał pan pojechać z matką i siostrą, stąd do Monachium. Dnia tego miał powrócić pański wuj z kuracji. Następnego dnia, to jest piętnastego maja był oznaczony jego ślub. Pan jednak wysiadł już na następnej stacji, gdyż matka pańska zachorowała. Wtedy przyszła pokusa. Wiedział pan, że jeśli Malte v. Tübingen nie dożyje dnia ślubu, wówczas zostanie pan jego spadkobiercą. Powrócił więc pan tego wieczoru pieszo do pałacu, przeszedł pan przez płot i zakradł się na taras, pod okno sypialni. Wiedział pan, że wuj sypia przy otwartym oknie i podczas nocy wypija kieliszek wina. Na tem zbudował pan swój plan. Posiadał pan dostateczną ilość morfiny, postanowił pan wsypać trochę wujowi do wina...

Norbert v. Hall siedział złamany na fotelu i spoglądał osłupiałym wzrokiem na Henryka Diehla.

— Ponosi pana fantazja! — krzyknął zduszonym głosem.

Doktor Diehl jednak nie dał się zbić z tropu, lecz ciągnął dalej:

— Okno było otwarte, w pokoju paliło się światło. Nie przypuszczał pan tylko, że zastanie pan przy łóżku wuja jego narzeczona. Na szczęście mocno spała, co było panu bardzo na rękę. Nie namyślając się długo, przechylił się pan przez okno i wsypał truciznę do kieliszka. Uczyniwszy to, ukrył się pan na tarasie. Narzeczona wuja obudziła się wkrótce i zamknęła okno. Wtedy dopiero opuścił pan swoją kryjówkę i przekradł się do parku. Przekradł się pan przez sztachety, powrócił pieszo do następnej stacji, stamtąd poszedł pan do hotelu. Służącemu, który otwierał panu bramę, opowiedział pan piękną bajeczkę, jakoby pan zasnął w altance. Czy nie tak było?

Norbert v. Hall zerwał się z miejsca, rozglądając się wokoło, jakby szukał drogi do ucieczki.

— Pan oszalał, doktorze! Czego pan właściwie chce ode mnie?

Doktor Diehl wyciągnął z kieszeni jakiś papier. Było to zeznanie, które przygotowywał dzisiejszego ranka.

— Żądam, aby pan podpisał ten dokument. Może pan go najpierw przeczytać, zawiera dokładny przebieg zbrodni. Jest tu wszystko, com panu przed chwilą opowiedział...

— Ani mi się śni! Ma pan jakieś konszachty z Juttą, a teraz pan chce zwalić jej całą winę na mnie...

— Jeżeli pan nie podpisze zeznania, to opuści pan ten pokój, jako mój więzień. Każę pana niezwłocznie zaaresztować, moi ludzie czekają przed pałacem. Jeżeli pan jednak podpisze ten papier, wtedy pozwolę panu wymknąć się z rąk sprawiedliwości i postawię panu wybór, jak to uczynić. Kocham pańską siostrę Blandynę i pragnę zaoszczędzić jej boleści... Nie dopuszczę, aby jej brat zginął na szafocie.

— Pan jest szatanem! — jęknął Norbert.

— Nie, jestem tylko narzędziem sprawiedliwości, w tym wypadku bardzo niewygodnym dla pana. Zanim podpisze pan ten papier, pragnę panu jeszcze zwrócić uwagę na kilka szczegółów,

które zawiera to zeznanie. Przypomina pan sobie zapewne ze śledztwa, że pani Jutta obudziła się owej nocy, słysząc jakiś dziwny, cichutki szmer. Miała wrażenie, że jakaś drobna kulka toczy się po podłodze. Czy nie wpadło panu nigdy na myśl, że pan coś zgubił w chwili, gdy sypał pan truciznę do kieliszka i cofnął po tym rękę?

Norbert wlepił w Henryka błędne spojrzenie, nie rozumiejąc wcale o co chodzi.

— Ach więc pan nie zauważył? Przestępca powinien zwracać baczniejszą uwagę na takie drobiazgi. Tym przedmiotem bowiem, była maleńka kryształowa kulka z inkrustowaną jaskółką w locie.

— Nie rozumiem — szepnął Norbert zaskoczony.

— Kulka ta wypadła ze spinki w mankiecie. Zgubił pan ją, lecz zapewne nie zastanawiał się pan gdzie i w jakich okolicznościach. Ta drobna kulka spadła na podłogę, w tej chwili, kiedy pan popełniał zbrodnię. Ona właśnie zdradziła pana. Po dwóch latach znalazłem ją w tym kącie, do którego się potoczyła. A spinki spooczywają w szufladzie pańskiego biurka.

Z piersi Norberta dobył się głuchy jęk. Rzucił przerażone spojrzenie na biurko.

— Tak, popełniłem drobną niedyskrecję. Spinki leżą w tem biurku. Pan zaś ze zwykłą noszalancją zbrodniarza, który czuje się bezpiecznym, gdyż zwałił winę na bezbronną kobietę, owinał te spinki w pierwszy lepszy skrawek papieru. Nie miał pan potrzeby się obawiać, ona bowiem pokutowała za pana, ją napiętnował pan mianem trucicielki. To też nie spostrzegł pan, że ten papier jest receptą na silną dawkę morfiny. Zamówił ją pan na kilka dni przed popełnieniem morderstwa. Zazwyczaj używał pan sam tego narkotyku, tym razem jednak postanowił się pan podzielić z wujaszkiem, wiedząc zgóry, że starzec gorzej od pana zniesie tę truciznę.

Teraz już Norbert nie mógł się dłużej wypierać swego czynu. Drżącą ręką ocierał pot z czoła. Wreszcie opanował się ostatnim wysiłkiem woli i wyjąkał:

— Tak... Widzę, że pan wie wszystko... Nie będę się zapierał... Tak, uczyniłem to, bo... byłem w rozpaczliwym położeniu... bo chciałem otrzymać spadek, który miałem stracić przez małżeństwo wuja... Nie wiedziałem, że ślub się odbył, że wuj zostawił testament na korzyść Jutty... Gdym się nazajutrz dowiedział, że wszystko było daremne, myślałem, że oszaleję... Byłem bliski obłędu, napół przytomny... Ta przekłeta trucizna, która wysysa mi krew z żył, odebrała mi rozum. A najgorsze było, że Jutta niewinnie cierpiała... Bałem się kary i dlatego nie przyznałem się do winy... Ale odpokutowałem za to... Bo kocham Juttę, kocham ją do szaleństwa... Przez te dwa lata poznałem piekło... Chciałem się poprawić, chciałem zostać lepszym człowiekiem... Pracowałem dla Jutty, zarządzałem jej majątkiem, nie sprzeniewierzyłem ani grosza... Zabijała mnie myśl, że Jutta kocha innego... Tak, kocha tego człowieka, który wezwał pana na pomoc... Zostanie teraz jego żoną... Nie, nie mogę znieść tej myśli... Proszę mi podać ten papier... podpiszę... Niech mnie pan nie wydaje w ręce policji... proszę tylko o krótką zwłokę... niech pan to uczyni przez wzgląd na moją matkę i... Blandynę... Ja nie chcę zginąć na... szafocie... Niech pan tego oszczędzi Blandynie... Niech mnie pan ratuje...

Słowa te z trudem wydobywały się z jego ust. Gdy wstał i położył na biurko podpisane zeznanie, Henryk spojrział na niego wzrokiem, w którym malowało się współczucie.

— Podpisałem, proszę przeczytać — powiedział Norbert.

Oprócz podpisu, nieszczęsny wykołojeniec nakreślił na papierze kilka słów, które brzmiały:

„Potwierdzam prawdziwość powyższego zeznania.

Jutta v. Tübingen jest niewinna, ja jestem mordercą jej męża. Niechaj przebaczą mi wszyscy, których skrzywdziłem.

Norbert v. Hall”.

Doktor Diehl obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, poczem schował papier do kieszeni i rzekł głosem, w którym drżało wzruszenie:

— Odchodzę! Za godzinę zjawi się policja, żeby aresztować pana. Ma pan godzinę czasu na uporządkowanie swoich spraw. Zrobi pan, co pan będzie uważał za stosowne. Zawiadomę o wszystkim pańską matkę, siostrę i panią Juttę. W imieniu pana poproszę je o przebaczenie, o ile pan sam nie zdąży uczynić tego...

Norbert podniósł na niego szkliste, przygastłe spojrzenie.

— Dziękuję panu! — rzekł.

Doktor Diehl uklonił się i wyszedł. Nikt nie czekał na niego za drzwiami, gdyż powiedział to jedynie, aby nastraszyć Norberta. Udał się do niego, sam wiedząc, że potrafi dać sobie z nim radę.

Wiedział też, że dla Norberta pozostała jedna tylko droga, droga, na jakiej uniknie wszelkich przesładowań, droga wiodąca do krainy, z której nie było powrotu.

\* \* \*

Doktor Diehl wyszedł z pałacu bardziej wzruszony, niż się tego spodziewał. To też przede wszystkim poszedł do lasu, aby się trochę uspokoić i przyjść do siebie. Po tym dopiero udał się do oberży „Pod Czerwonym Lwem”, gdzie czekał już jego pomocnik, który przyjechał dziś rano.

— Niech pan idzie do wójta i każe mu wystawić nakaz aresztowania Norberta v. Hall. Po tym zabierze pan ze sobą jednego z urzędników gminy i uda się pan z nim do pałacu. Zaaresztujecie oskarżonego i przyprowadzicie go do gminy. Będę tam oczekiwał pana, bo mam jeszcze omówić pewne sprawy z wójtem.

Pomocnik natychmiast spełnił jego polecenie. Po chwili doktor Diehl podążył za nim do gminy. Zastał tam wójta ogromnie wzburzonego. Nie chciał on z początku wystawić nakazu aresztowania Norberta, lecz pomocnik doktora, Fuller, miał przy sobie urzędową legitymację, wobec czego musiał się zgodzić. Doktor Diehl pokazał mu podpisane zeznanie Norberta. Wójt nie posiadał się ze zdumienia, wiadomość ta wstrząsnęła nim do głębi.

— Widzi pan — rzekł spokojnie doktor Diehl — że przez oczywiste dowody jej niewinności i jestem pewien, że pan, jako człowiek hoonru, uczyni wszystko, aby ją zrehabilitować. Pani v. Tübingen powinna otrzymać pełną satysfakcję. Trzeba także powiedzieć kilka słów dzieciom wiejskim, które nazywają ją „trucielką” i „czarownicą” i bezustannie ją lżyły. Rodzice muszą to dzieciom wytłumaczyć. Jestem pewien, że pan wszystko uczyni, co będzie w pańskiej mocy. Oddaję panu w ręce sprawę niewinnie oskarżonej kobiety.

Wójt wydawał się sobie w tej chwili niezmiernie ważną osobistością. Pochlebiły mu słowa doktora Diehla, to też obiecał, że się zastosuje do jego polecenia. Mimo wszystko, cała ta sprawa wprawiała go w zakłopotanie. Drapiąc się w głowę, rzekł zafasowany:

— Przekłeta sprawa, panie doktorze! Gdy zaaresztujemy teraz pana v. Hall, będziemy mieli masę kłopotów i formalności... Trzeba...

Nie dokończył zdania. W tej chwili ktoś gwałtownie otworzył drzwi, a na progu stanął Fuller:

— Panie doktorze! — zawołał. — Nie zastaliśmy oskarżonego przy życiu... Znaleźliśmy go martwego w fotelu przy biurku... Zastrzelił się...

Doktor Diehl powstał z pobladłą twarzą.

— Sam wymierzył sobie sprawiedliwość! Niechaj spoczywa w spokoju! — rzekł z powagą.

Natychmiast udał się w towarzystwie wójta do pałacu. Zastali tam służbę w najwyższym przerażeniu. Doktor Diehl wszedł z wójtem do gabinetu Norberta. Nie ruszono tu niczego, gdyż jeden z urzędników stał przed drzwiami na straży. Norbert v. Hall siedział w fotelu przy biurku. Browning, którym przestrzelił sobie skroń, wypadł mu z ręki i spoczywał na dywanie. Przed nim na biurku leżała zapisana karteczka:

„Jutto, proszę mi wybaczyć. Niech pani nie szuka odwetu na mojej matce i siostrze. Wiem, że pani jest szlachetną i wspaniałomyślną. I ty, matko, także mi przebac. Módl się za duszę twego nieszczęśliwego syna Norberta”.

Wójt spojrzął na doktora Diehla.

— Gdzie są panie? — zapytał.

— Niema ich w pałacu. Postarałem się, aby ich nie było podczas aresztowania Norberta v. Hall.

— Kto zawiadomił je o tym okropnym wypadku?

— Zrobię to sam, pojedaję natychmiast do Obergriesbach. Proszę narazie zostawić wszystko tak jak jest, dopóki panie nie powrócą.

I doktor Diehl pożegnał się, powrócił do oberży „Pod Czerwonym Lwem”, gdzie zostawił konia, poczem szybko odjechał do domu.

Frank Rüdiger czekał na panie przed domem. Oczy jego spotkały się z oczyma Jutty i zalsniły radosnym blaskiem. Ręce obojga splotły się w długim, serdecznym uścisku. Nie mogli naturalnie mówić o tem, co przepełniało ich serca, gdyż pani v. Tölz nie odstępowała ich ani na krok.

Blandyna doznała zawodu, dowiedziawszy się o nieobecności Henryka Diehla.

— Zdaje się, że powróci wkrótce, aby jeszcze zastać panie. Musiał załatwić sprawę niezmiernie ważną i nie cierpiącą zwłoki — wyjaśniał Frank.

Zaprowadził panie do salonu, gdzie pani Remblin podała przekąski i słodycze. Blandyna, dowiedziawszy się, że doktor po-

wróci wkrótce, odzyskała dobry humor i przekomarzała się z Frankiem.

— Częstoje nas pan samemi przysmakami i jeszcze pan twierdzi, że nie potrafi pan sam urządzić przyjęcia — rzekła z uśmiechem.

— Bo też naprawdę nie potrafię sobie dać rady. Nigdy nie przyjmowałem u siebie pań, z wyjątkiem jednego razu, na Borneo. Wtedy zebrało się u mnie ogromnie mieszane towarzystwo, a przede wszystkim bardzo kosmopolityczne. Wszelkie kolory skóry były reprezentowane w moich apartamentach. Zjawił się nawet pewien wódz plemienia Dyak ze swoją córką.

— Czy dziewczyna z plemienia Dyak była piękną? — zająrtowała Blandyna.

— Rzecz gustu. W swoim plemienu uchodziła za piękność, ale wątpię oczy otrzymałaby nagrodę na europejskim konkursie piękności. Mnie się niezbyt podobała.

— Więc wtedy na Borneo urządził pan przyjęcie bez niczyjej pomocy?

— Tak, ale miałem tam doskonałych służących i tylko dzięki temu przyjęcie udało się.

— Może urządzimy w niedzielę bal w stylu owej uroczystości na Borneo — zaproponowała Blandyna.

— Pomysł bardzo oryginalny — potwierdziła jej matka.

— Nie, proszę pani, tu w górach taka rzecz się nie uda. Proponuję raczej, abyśmy przybyli wszyscy w góralskich strojach ludowych. Przypuszczam, że panie do tego czasu zdążą się wystarać o odpowiednie przebranie.

— Naturalnie! To bardzo dobry pomysł. Ale musimy za- tańczyć na murawie.

— Zgoda! Zamawiam sobie pierwszego walca — zwrócił się Frank do Jutty.

Jutta nie brała udziału w rozmowie, gdyż ogarnął ją dziwny niepokój. Czuli, że lekki, swobodny ton Franka jest tylko udany, jego wesołość pozorna. Nie wiedziała wogóle paco zaprosił je do siebie. Rzuciła mu pytające spojrzenie, lecz odparła napozór spokojnie:

— Nie tańczyłam już od wielu lat, zapewne już nie umiem...

— Ach, to się pani znowu nauczy.

— Będziemy się wprawiały, Jutto — zaproponowała Blandyna.

Przez jakiś czas rozmawiano jeszcze na ten temat. Frank zaproponował, aby panie wybrały w ogrodzie miejsce do tańca. Blandyna z matką poszła naprzód. Jutta ruszyła z Frankiem za niemi. Idąc obok niego, spytała szentem:

— Co się stało, czemu nas pan zaprosił?

— Proszę mi pomóc zatrzymać tutaj obie panie, dopóki nie powróci doktor Diehl. Dowie się pani potem wszystkiego. Czy jesteście szczęśliwą, Jutto?

— Bardzo, ach, tak bardzo!

Nie mogli rozmawiać dłużej, gdyż pani v. Tölz przystanęła i obejrzała za nimi. Najwidoczniej postanowiła ich nie spuszczać z oczu.

Blandyna z Frankiem zaczęli tymczasem wybierać miejsce do tańca, Pani v. Tölz uważała ten pomysł za chybiony, nie przeciwstawiała się jednak, widząc, że młodzież była nim zachwycona. Prosiła jedynie, aby mogła przybyć w wizytowej sukni. Poza tym dawała Frankowi różne rady i wskazówki, a nawet omawiała rozmaite szczegóły z panią Remblin. Jutta stwierdziła w duchu, że Frank nie słucha wcale i jest bardzo zdenerwowany. Czyżby to miało jakiś związek z jej sprawą?

Nie mogli zamienić ani słowa, gdyż pani v. Tölz wciąż do- trzymywała im towarzystwa. Obawiała się zostawić Juttę sam na sam z Frankiem Rüdigerem.

Położenie Franka było bardzo nieprzyjemne. Wiedział, że nie dojdzie wcale do niedzielnej uroczystości. Pani v. Tölz i Blandyna napewno nie będą usposobione do zabawy, gdy się dowiedzą, kto otruił Maltego v. Tübingen. Młody człowiek wciąż spoglądał na drogę, prowadzącą ze wsi. Wreszcie ujrzał zdaleka jeźdźca, pędzącego w cwał.

— Oho, doktor Diehl nadjeżdża — rzekł Frank, oddychając z ulgą.

Jutta spostrzegła, że stara się opanować wzburzenie. Blandyna obejrzała się, a policzki jej pokryły się rumieńcem. Pani v. Tölz także czekała z niecierpliwością na doktora. Wreszcie Henryk zajechał przed ganek i szybko zeskoczył z konia. Uśmiech zamarł na wszystkich twarzach. Doktor Diehl był bład, ogromnie wzburzony. Rysy jego twarzy zdradzały, że jest zwiastunem jakiegoś nieszczęścia. Blandyna strąnęła jak wryta. Nie wiedziała co się stało, lecz przeczuwała coś złego. Czuli, że teraz właśnie usłyszy okropną rzecz, której poświadczenie oddawna się lękała, choć nie potrafiła określić jej bliżej.

Jutta również zauważyła, że się coś stało i odrazu przeczuwała że ma to coś wspólnego z jej sprawą. Patrzyła na doktora z wielkim niepokojem. Frank zbliżył się do przyjaciela i spytał pocichu:

— Co się stało, Henryku?

— Nie żyje. Wejdźmy z paniami do domu.

Doktor przywitał się z panią v. Tölz, poczem podszedł do Blandyny.

— Wejdźmy do domu, panno Blandyno. Bardzo mi przykro, lecz muszę pani oznajmić smutną nowinę. Pani, oraz jej matce.



Z temi słowy wprowadził Blandynę do salonu. Dziewczyna ujęła jego rękę.

— Panie doktorze! Mój brat?

— Pani czuje, że tu chodzi o niego — odparł, patrząc na nią ze współczuciem. — Odwagi, panno Blandyno! Cierpię szalenie, gdyż muszę sprawić pani ból.

— Pan nie potrafi mi sprawić bólu — rzekła, pragnąc go pocieszyć, lecz serce jej ścisnęło się przerażeniem.

Twarz Henryka wykrzywiła się bolesnym kurczem. Przysunął krzesło Blandynie, poczem podszedł do pani v. Tölz. Frank ujął rękę Jutty.

— Bądź przygotowana na najgorsze, Jutto — szepnął.

Wszyscy wlepili oczy w twarz doktora Diehla. Jedyne tylko pani v. Tölz siedziała spokojnie, nie przeczuwając nic złego. Henryk zwrócił się do niej:

— Jestem bardzo nieszczęśliwy, że przynoszę pani złą nowinę...

— Co się stało? Mój syn?...

— Tak, proszę pani. Ta wiadomość tyczy syna pani... Przytrafiło mu się nieszczęście...

Pani v. Tölz zmieniła się na twarzy. Blandyna również zbladła jak opłatek i rzekła drżącym głosem:

— Proszę nam powiedzieć prawdę... Niech pan nie męczy nas dłużej...

— Szanowna pani... panno Blandyno... Norbert v. Hall nie żyje.

Pani v. Tölz opadła z głuchym jękiem na fotel, Blandyna osunęła się do jej stóp. Jutta zaś ujęła obie ręce Franka, szukając jakby u niego oparcia.

— On? Więc to on? — spytała wiedzona nagle przecuciem. I niespodziewanie zbudziło się w niej podejrzenie, że Norbert v. Hall otruił jej męża. Frank skinął głową.

— Tak, Jutto, on był mordercą.

— O Boże! Biedna matka, biedna siostra! — rzekła z gorącym współczuciem.

Nie pamiętała w tej chwili o sobie, o swoim wyzwoleniu. Podeszła do Blandyny i objęła ją czule ramieniem. Lecz Blandyna gwałtownym ruchem zerwała się z miejsca i ogarnięta przecuciem naglej zgrozy, wyciągnęła ręce do doktora Diehla.

— To jeszcze nie wszystko. To jeszcze nie najgorsze! Czuję... wiem... że za chwilę usłyszę coś okropnego... że spełni się to co przeczuwałam już oddawna... Niech nam pan powie prawdę... całą prawdę...

— Biedna, biedna Blandyno! Uspokój się kochanie, — mówiła Jutta.

Blandyna spojrzała na nią błędnym wzrokiem.

— Wiedziałam... Nad nami wisiał jakiś groźny cień... Cemu doznawałam zawsze tak okrutnego lęku, gdy patrzyłam na Norberta? Doktorze, proszę nam wreszcie powiedzieć wszystko...

Pani v. Tölz podniosła głowę. Twarz jej była szara, rysy wykrzywione okrutną boleścią.

— Co jeszcze? Czyż może nastąpić jeszcze coś gorszego? — spytała.

Henryk Diehl przesunął ręką po czole. Misja, której się podjął, okazała się trudniejszą, niż się spodziewał.

— Nie powinna pani boleć nad śmiercią syna. Nie mógł żyć dłużej. Był oddawna człowiekiem wykolejonym... Gdyby żył, musiałyby pani wiele cierpieć z jego powodu...

— Niechże pan nareszcie wypowie te słowa, których niema pan odwagi wypowiedzieć. Co zrobił mój syn? Dlaczego musiał umrzeć tak młodo?

Doktor spojrział błagalnie na Franka, a ukazując oczyma Blandynę, rzekł:

— Powiedz ty, Franku... Ja, patrząc w jej oczy, nie mogę mówić...

— Szanowna pani — rzekł Frank — syn pani nie chciał żyć dłużej, popełnił samobójstwo... On bowiem otruił Maltego v. Tübingen...

Po słowach tych zapanowała głęboka cisza. Pani v. Tölz leżała zdruzgotana w fotelu, Blandyna ukryła twarz na ramieniu Jutty, która ją czule tuliła do siebie. Minęła chwila ciężkiego, okropnego milczenia. Wreszcie pani v. Tölz z wolna podniosła się z miejsca.

— Niech pan każe, aby powóz zajechał. Chcę powrócić do domu... do mego biednego chłopca — rzekła bezdzźwięcznie. Blandyna szybko podbiegła do matki.

— Mamo! Droga mamo! — zawołała.

— Zostaw mnie, odparła matka, odpychając Blandynę — pochłania mnie wyłącznie jedna myśl. Mój syn był mordercą i dlatego zginął. Nie mogę go potępić, ja nie mogę... Wiem, że cierpiał okrutnie, choć nie miałam pojęcia, dlaczego. Mniejsza o to! Był moim synem i kochałam go...

Z temi słowy przeszła obok Blandyny, jak koło obcej osoby. Dziewczyna patrzyła przygasłymi oczyma na matkę. Czuli, że nawet w takiej chwili, matka nie chce z nią mieć nic wspólnego. Kochała jedynie swego syna, kochała go nawet po śmierci.

Doktor Diehl zbliżył się do Blandyny i spojrział na nią z bezgraniczną miłością:

— Blandyno! Czy pani mi przebaczy, że wykryłem winę brata pani?

— Jakto? pan?

— Tak, Blandyno, nie jestem tym, za którego się podawałem. Przybyłem tutaj, aby wykryć mordercę i dowieść, że pani Jutta jest niewinna. Najtragiczniejszym jest, że przyczyniłem się przytem do śmierci twego brata.

— Tak było sądzone — odparła, a oczy jej przybrały zagadkowy wyraz — działał pan w imię sprawiedliwości. Teraz wstał we mnie ogromny spokój. Nie wiedziałam nigdy, czemu lękałam się Norberta. Był we mnie strach, wieczny strach, którego nie umiałam określić. Obecnie wiem wszystko.

Henryk pocałował ją w rękę.

— Przeczuwałam, że jest winnym, dlatego się go lękałam.

Blandyna rzuciła się w objęcia Jutty.

— Dlatego była zawsze przekonana o twojej niewinności. Ach, Jutto! Czy możesz nam przebaczyć? Czy nie odpechniesz nas od siebie?

— Przecież ty nie ponosisz winy, moje biedactwo — odparła Jutta, tuląc ją do siebie — ani też twoja matka. Nigdy nie przestanę cię kochać, bądź spokojna.

Blandyna spojrzała ze smutkiem na Henryka i podała mu rękę.

— Żegnam pana, doktorze!

Przypuszczała, że wszystko między nimi było skończone. Czyż mógł poślubić siostrę mordercy? Była pewną, że doktor Diehl nie zechce się z nią ożenić po tem, co zaszło. Na jej wiosniany sen miłosny padł ponury cień.

Doktor Diehl zrozumiał inaczej zachowanie Blandyny. Pomyślał, że go odepchnęła, dlatego, iż wyszedł jej brata. Spojrział na nią błagalnie i zawołał:

— Blandyno!

Ona jednak ukryła twarz w dłoniach i śpiesznie podążyła za matką.

— Pani Jutto — powiedział teraz doktor Diehl — niech pani się zajmie Blandyną. I niech się pani za mną wstawi. Kocham ją, lecz ona nie może na mnie patrzeć, bo przyczyniłem się do śmierci jej brata.

Jutta uścisnęła jego rękę.

— Proszę się uspokoić, Blandyna z pewnością także kocha pana. Musi tylko odzyskać równowagę, tak jak my wszyscy... Nie potrafię panu w tej chwili wyrazić swej wdzięczności, zachowam ją na wieki w sercu. Zobaczymy się wkrótce. Teraz muszę odjechać z Blandyną i jej matką.

— Pani ma słuszość, wiem, że pani jest dobrą i szlachetną i że ich pani nie opuści. Ten oto papier składam w ręce pani, jest dowodem, że pani jest niewinna. Opisany tu jest dokładnie cały przebieg zbrodni. Proszę to przeczytać, a potem dać Blandynie i jej matce. To im pomoże znieść ten okropny cios. Gdyby pani potrzebowała rady czy pomocy, to proszę nas zawezwać. Frank i ja jesteśmy zawsze na usługi pań.

— Dobrze, pomyślę o tem. Dowidzenia!

Wyprowadził ją na ganek. Frank pomagał właśnie wsiadać Blandynie do powozu, w którym siedziała już pani v. Tölz. Uścisnął on gorąco, serdecznie rękę Jutty, której oczy zasnuły się łzami. Czuli oboje, że nie wolno im w tej chwili myśleć o własnym cichem szczęściu, że powinni przede wszystkim spełnić obowiązek wobec bliźniego.

Panie odjechały. Przez całą drogę siedziały w milczeniu. Pani v. Tölz wyglądała jak uosobienie rozpacz, twarz jej zbladła, oczy tępo patrzyły przed siebie. Nie szukała pociechy u córki, myślała wyłącznie o zmarłym.

Gdy przybyły do pałacu, Jutta przede wszystkim usunęła służbę, która zgromadziła się, pełna ciekawości, przed drzwiami gabinetu Norberta. Wiedziała z doświadczenia, jak bolesne są w podobnej chwili ciekawe spojrzenia obojętnych ludzi. Chciała oszczędzić każdej przykrości obu złamanym bólem kobietom.

Pani v. Tölz natychmiast udała się z Blandyną do pokoju syna. Ujrawszy zmarłego, wlepiła w niego wzrok, w którym odbijało się nieme zapytanie. Blandyna spostrzegła na biurku kartkę, pozostawioną przez Norberta i, przeczytawszy ją, wybuchnęła płaczem.

Szlochając pokazała kartkę matce. Wtedy i pani v. Tölz zalała się łzami, które przyniosły jej znaczną ulgę.

\* \* \*

Jutta wydała służbie wszelkie polecenia, przyczem zauważyła, iż wszyscy starają się jej dogodzić i okazać życzliwość. Pragnęli wyraźnie zaznaczyć, że dotarła do nich wieść o jej niewinności. Wiadomość ta rozeszła się lotem strzały nietylko po pałacu, lecz po całej wsi.

Gdy Jutta nazajutrz wyszła na taras, aby trochę odpocząć, spostrzegła na schodach gromadkę wiejskich dzieci. Były odświętnie ubrane; przed bramą stał nauczyciel i ksiądz proboszcz, którzy zapewne przyprowadzili dzieciaki do pałacu.

Dzieci miały w rękach wiązanki polnych i leśnych kwiatów. Były bardzo zmieszane, lecz twarze ich nie wyrażały już lęku. Kolejno podchodziły do Jutty, która usiadła w fotelu, i kładły jej na kolanach pęki kwiecica. Młodą kobietę ogarnęło ogromne rozrzewnienie. Ta milcząca owacja wzruszyła ją bardziej, niż wszelkie próśby o przebaczenie. Przyciągnęła ku sobie jakąś maleńką, jasnowłosą dziewczynkę i spytała z uśmiechem:

— Czy się mnie teraz już nie boicie?

Jakaś starsza dziewczynka odpowiedziała zamiast maleństwa:

— Nie, pani dziedziczko! Matusz powiedzieli, że to nieprawda, że wcale nie jesteście czarownicą. Mówili, żeś dobra jako te aniołeczki w niebie... Nie gniewajcie się, pani dziedziczko, żeśmy cię przezywali...

Jutta pogłaskała jej lnianą główkę.

— Nie gniewam się już wcale. Będziemy teraz żyli w zgodzie i przyjaźni, a niedługo zaproszę wszystkie dzieci do parku na ciastka i czekoladę. Dziś musicie stąd odejść, bo w domu jest żaloba.

Nauczyciel odprowadził dzieciaki, najwidoczniej rozradowane myślą o ciastkach i czekoladzie. Ksiądz proboszcz udał się do pałacu, aby pocieszyć pogrążoną w smutku rodzinę. Rozmawiał przez kilka chwil z Juttą, poczem pośpieszył do pani v. Tölz i do Blandyny. Gdy młoda kobieta pozostała sama, złożyła ręce i szepnęła:

— Niezbadane są wyroki boskie! Dzięki Ci, Ojczy Niebieski!

Od wczoraj nie widziała ani Blandyny ani jej matki, gdyż nie wychodziły z pokoju Norberta. Jutta nie weszła do nich, gdyż nie chciała im przeszkadzać.

Po chwili Jutta podążyła do pałacu, a znalazłszy się u siebie, przeczytała raz jeszcze zeznanie Norberta. Wdzięczność jej dla doktora i Franka Rüdigera nie miała granic. Wiedziała, że Frankowi może się odwdziaczyć, zostając jego żoną, pragnęła jednak uczynić coś także i dla Henryka.

Gdy siedziała, zatopiona w myślach, otworzyły się drzwi i do pokoju wsunęła się Blandyna. Była w czarnej sukni, a oczy jej nosiły ślady łez. Usiadła cichutko u stóp Jutty i ukryła głowę na jej kolanach.

— Jakże się czuje twoja matka, Blandyno? — spytała Jutta.

— Nie przestaje płakać, ale to dobrze, bo łzy przynoszą jej ulgę. Nakłoniłam ją, aby się trochę położyła. Teraz siedzi u niej ksiądz proboszcz. Nie mogę jej, niestety pocieszyć, lecz moim obowiązkiem jest być przy niej. Nie spałyśmy całą noc i muszę przyznać, że tęskniłam do ciebie. Chciałam pomówić z tobą. Czy wiesz, jak to się wszystko stało?

— Tak, kochanie! Czy chcesz się także dowiedzieć?...

— Chciałabym wszystko dokładnie wiedzieć, aby nareszcie pozbyć się tego ciągłego niepokoju. Widzisz, Jutto, miałam zawsze jakieś niejasne podejrzenie, gdy patrzyłam na Norberta. Całe jego zachowanie wydawało mi się dziwnie zagadkowe. Nękało mnie to i często robiłam sobie wyrzuty. Pragnę się pozbyć tego uczucia trwogi.

— Przeczytaj ten dokument, Blandyno.

Dziewczyna zabrała się do czytania, a skończywszy, wybuchnęła płaczem:

— Nieszczęśliwy! Dokąd zawiodła go chciwość! Znalazłam na jego biurku kartkę, jest tam kilka słów, przeznaczonych również dla ciebie... Nie mam odwagi, aby ci to pokazać...

— Pokaż mi tę kartkę, Blandyno.

Jutta przebiegła oczyma kilka wierszy, skreślonych ręką Norberta, poczem rzekła:

— Przebaczyłam mu wszystko z całego serca. Naturalnie, że nie będę na was szukała odwetu. Czyś wątpiła o tem, Blandyno?

— Ja nie, ale matka jest ogromnie zmartwiona. Dręczy ją myśl, co się z nami stanie.

— We właściwej chwili postaram się uspokoić twoją matkę. Zapewniam cię, że nigdy was nie opuszczę.

— Wiem, żeś dobra i że masz szlachetne serce. Teraz dzięki Bogu, będziesz mogła pójść za głosem serca i być szczęśliwą. Myśl o tem trochę mnie pociesza.

— Czemu ta rezygnacja, Blandyno? Przecież i dla ciebie wybije godzina szczęścia.

— O, nie! To się skończyło...

— Dlaczego? Czy nie możesz wybaczyć doktorowi, że zdemaskował twego brata? Przecież został wezwany przez Franka, aby wykryć mordercę wuja Maltego. Uczynił to, choć cierpiał, myśląc o tem, że sprawi ci ból. Działał w imię sprawiedliwości.

— Bez wątpienia, Jutto. Przecież nie to nas dzieli... nie biorę mu za złe, że spełnił swój obowiązek. Ale on nie zechce przecież ożenić się z siostrą zbrodniarza...

— Więc to cię gnębi?

— Naturalnie! Szczęście które spotkałam na mej drodze, musi rozpaść się w gruzy.

— Nie, kochanie! Czy tak źle sądzisz o miłości Henryka? Nie znasz go, moja droga. Doktor Diehl nie chce się za żadną cenę wyrzec ciebie. Prosił, abym się za nim wstawiła, sądzi bowiem, że nie chcesz zostać jego żoną, ponieważ odkrył zbrodnię twego brata.

— Czy ci to powiedział?

— Tak, kochanie. To i jeszcze inne rzeczy, których ci nie powtórzę, gdyż pragnę, abyś je usłyszała z jego ust. Czekam tylko, abyśmy go przywołały, gdyż dręczy go troska o ciebie. Musimy jednak poczekać, aż twój brat spocznie pod ziemią. Po pogrzebie, my obie, bezbronne kobiety, postaramy się o męską opiekę. Gdy twoja matka przyjdzie do siebie, zaprosimy obu panów, a wiem, że przybędą natychmiast.

W sercu Blandyny wstąpił promień nadziei. Przywarła gorącymi ustami do ręki Jutty:

— Najlepsza, najmilsza moja! Wszystko dobre pochodzi od ciebie. Ja już pogrzebałam wszelkie marzenia o szczęściu.

— Och, kochanie, jakże można! Teraz właśnie rozpoczniemy obie nowe życie. Dość długo trawiliśmy dnie w samotności i

smutku. Sądzę, że śmierć Norberta nie zostawi zbyt wielkiej pustki w twym życiu. Twoją matkę także się pocieszy, tym bardziej, że zięć zastąpi jej syna. Będzie z niego mieć więcej pociechy, niż z Norberta. Powiem ci, Blandyno, że Norbert już oddawna był straconym człowiekiem. Grał w karty, stał się nałogowym morfinistą. Był to początek końca. Wuj Malte wiedział o tym i dlatego pominął go w testamentcie. Będziemy się modliły za spokój duszy Norberta, lecz nie pozwolimy, aby jeszcze po śmierci zatruwał nam życie. Musimy, pełne otuchy, spoglądać w przyszłość i myśleć o tych, którzy nas kochają i których my kochamy...

Blandyna zarzuciła jej ręce na szyję.

— Och, gdybym nie miała ciebie... Byłabym istotą godną pożałowania...

— Rada jestem, że mogłam ci pomóc. Tyś zawsze pocieszała mnie w ciężkich chwilach...

— Kamień spadł mi z serca, Jutto! Pójdę teraz do mamy. Czy pozwolisz, abym jej pokazała to zeznanie? Mam wrażenie, że po przeczytaniu, prędzej porodzi się z myślą o śmierci Norberta. Pojmie, że musiał zakończyć swoje zmarnowane życie.

— Dobrze, Blandyno, ale schowaj potem ten papier. Zawiera on akt mego uniewinnienia; dzięki niemu zostałam zwolniona bez zastrzeżeń, nie zaś z braku dowodów.

— Naturalnie, schowam go u siebie. Dziękuję ci za tyle dobroci. Pocieszyłaś mnie, Jutto.

— A jednocześnie mogłam wyświadczyć przysługę doktorowi, co mnie bardzo cieszy. Bylibyście się jeszcze oboje męczyli bez potrzeby, wskutek tego nieporozumienia.

— Niech ci Bóg odplaci za twoją dobroć.

Uścisnęły się serdecznie, poczem Blandyna udała się do matki. Zastała ją trochę spokojniejszą. Ksiądz proboszcz wyszedł od niej przed chwilą. Blandyna dała jej do przeczytania zeznanie Norberta. Pani v. Tölz, po przeczytaniu, oddała dokument córce. Milczała, lecz widać było, że w duszę jej powoli wstępuje spokój. Tej nocy po raz pierwszy zasnęła. Najgorsze minęło.

Blandyna także odzyskała równowagę, serce jej było pełne radosnego oczekiwania i nowej nadziei.

\* \* \*

Jutta napisała do Franka Rüdigera:

„Drogi Pani! Nie wzywam jeszcze Pana, ani też doktora Diehla, sądzę bowiem, że dla nas wszystkich będzie lepiej, gdy się przez kilka dni nie zobaczymy. Ksiądz proboszcz i wójt pomagają nam załatwiać wszelkie formalności. Zobaczymy się dopiero po pogrzebie Norberta. Niech pan powie doktorowi, że nie miałam potrzeby wstawić się za nim u Blandyny. Biedaczka sądziła, że doktor chce z nią zerwać, bo widzi w niej siostrę zbrodniarza. Uspokoiliam ją i pocieszyłam zupełnie. Matka jej również zaczyna powoli przychodzić do siebie. Pojutrze jest pogrzeb Norberta, wtedy się spotkamy nad jego mogiłą. Dowidzenia!  
Jutta”

Obaj panowie zrozumieli pobudki Jutty i nie przychodzili do pałacu. Znaleźli się jednak pośród szczupłego orszaku żałobnego, który odprowadzał Norberta na ostatni spoczynek. Pogrzeb nieszczęśliwego odbył się bardzo cicho. Zanim Frank rozstał się z Juttą, szepnął:

— Pragnę się zobaczyć z panią, muszę z panią pomówić. Nie mogę pani odwiedzić, lecz możemy przecież spotkać się w lesie. Czy dobrze?

I obrzucił ją przytem tkliwym gorącym spojrzeniem, że Jutta nie potrafiła odmówić ukochanemu.

— Jutro o czwartej na zwykłym miejscu — rzekła, rumieniąc się.

Pocałował ją w rękę, poczem się pożegnał. Doktor Diehl nie miał odwagi podejść do pani v. Tölz. Zdawała się ona nie widzieć i nie słyszeć niczego, co się wokół niej działo. Uginęła się pod brzemieniem hańby, którą okrył ją zmarły. Nad bólem górowało uczucie zranionej dumy. Blandyna stała blada i zapłakana obok matki, bojąc się spojrzeć w oczy doktora Diehla. On jednak nie odrywał od niej wzroku, w którym malowała się błagalna prośba. Dziewczyna zauważyła to spojrzenie i przestała unikać oczu doktora. Gdy po pogrzebie podszedł do niej i ujął jej rękę, nie opierała się temu.

— Blandyno! — szepnął Henryk, a w słowie tem brzmiał bolesny niepokój i serdeczna troska. Wtedy dziewczyna podniosła na niego oczy, z których mógł wyczytać miłość bez granic. Starczyło to za odpowiedź. Doktor pochylił się i ucałował ręce Blandyny.

\* \* \*

Nazajutrz po obiedzie Jutta poszła do lasu. Dzień był cudny, majowy, cały las przystroił się w świeżą zieleń, niby w odświeżone szaty. Frank Rüdiger czekał już na Juttę. Ujrawszy ją zdaleka wybiegł jej naprzeciw, a otwierając szeroko ramiona, zawołał:

— Jutto!

Pozwoliła, aby otoczyły ją silne, wierne ramiona, które tak pomyślnie pokierowały jej losem.

— Czyć moja, Jutto, moja? — spytał tkliwie.

— Twoja na wieki, Franku.

Usta ich połączyły się w pocałunku. Oboje ogarnął przytem jakiś uroczysty nastrój. Spojrzeli sobie w oczy, poczem znowu się pocałowali.

— Chwała Bogu, że się wszystko wyjaśniło, inaczej nie zostałabyś moja żoną.

(Dokończenie w numerze następnym).



## o dobrym górniku i cheiwym młynarzu.

(Dokończenie ze strony 6-ej).

— Dobry Panie Jezu. Proszę Cię bardzo, przyjdź dzisiaj do mnie. Jeżeli ten biedus dał ci tylko pół kury, pół placka i trochę rosołu, za co mu tyle pieniędzy dałeś, to ja Ci więcej wystawię, bo już kazałem zabić wieprzka, kury, gęsi, placka dobrego upiec i to wszystko Tobie dać i myśle, że za to...

Tu urwał i nie dokończył zdania.

Na krzyżu rozpięta figurka Jezusa się poruszyła i rzekła.

— Ja tam przyjdę do ciebie.

Zaraz też młynarz wstał i ruszył ku domowi. Po drodze już sobie wyciszał, ile to mu Pan Jezus pieniędzy da za takie ugoszczenie, jakie mu zgotuje.

Tymczasem w domu u młynarza praca wrzała, lecz nic się nie udawało. Placek się popalił, mięso się przypaliło, kiełbasy popękały. Nic zgoła się nie udawało.

To też skoro młynarz nadszedł, do wiedziawszy się o niepowodzeniach, strasznie kłąć począł i wymyślać. Aż strach było słuchać, jak zlorzeczyl wszystkim w domu.

Wreszcie jako tako jednak wszystko przygotowano i ustawiono na stole.

Młynarz ubrał się odświętnie, młynarka także. Dopiero też teraz powiedział jej, kto to do nich ma przyjść i zdradził jej nawet, ile to za to pieniędzy dostanie.

Czeka więc razem z żoną na Pana Jezusa. Czeka godzinę, dwie, trzy, a tu Pana Jezusa jak nie ma, tak nie ma. Poczyna się więc niecierpliwie.

— Niepodobno przecież, żeby miał mnie Pan Jezus ocyganić — wygadywał.

Im dłużej czekał, tym więcej się niecierpliwiał i więcej wygadywał.

Wreszcie po kilku godzinach zapukał ktoś do drzwi. Natychmiast więc kazał kobiecie wyjść do innej izby, a sam podbiegł ku drzwiom by je otworzyć, gdyż myślał, że to Pan Jezus przyszedł.

Tymczasem na progu stał stary dziad — żebrak.

Młynarz, zobaczywszy go, wyciągającego doń rękę z prośbą o jałmużnę, poczęstował go kopniakiem i za drzwi wypchnął.

— A, wynoś mi się, żebraczysko, stąd!... To ja tu na gościa wielkiego czekam, a ty mi tu zawadzać przychodzisz. A precz mi stąd — wykrzykiwał.

Zatrzasnął za dziadem drzwi i, pełen złości, chodził dużymi krokami wzdłuż izby, klnąc i zlorzeczając dziadowi.

Lecz oto znów ktoś zapukał.

— To napewno Pan Jezus — pomyślał.

Pospieszył więc ku drzwiom. Skoro jednak drzwi na nowo otworzył, złość nim znów wstrząsnęła, bo oto w progu stał ten sam dziad, którego przed chwilą wyrzucił i znów rękę ku młynarzowi wyciągał, prosząc o jałmużnę.

Schwycił więc kij, który stał przy drzwiach. Uderzył dziada raz i drugi po plecach, skopał go i niemiłosiernie za drzwi wyrzucił, klnąc i wyzywając bez liku.

Pienił się cały ze złości. Aż tu znów rozległo się pukanie do drzwi.

Pelen jeszcze złości, znów pobiegł do drzwi.

Ledwo jednak drzwi otworzył, spostrzegł, że to znów ten sam dziad rękę ku niemu wysuwa i prosi o ditek.

Złość zawrzała w młynarzu, jak burza. Znów skopał dziada, zbił, za drzwi wypchnął i psem poszczuł.

Pies ukąsił dziada w nogę, że krew się z nogi rzuciła. Dziad zapłakał i poszedł.

Młynarz do izby wrócił, kłął i prze-



### Wspomnienie niedawnych, wesołych chwil.

Uroczę, młode Polki na plaży w Paris-Plage, gdzie uczestniczyły w pokazach z okazji niedawnych uroczystości francusko-polskich.

klinał wszystko na świecie, nie omijając nawet Pana Jezusa, że to Pan Jezus go okłamał, bo powiedział, że przyjdzie a teraz nie przychodzi.

Czekał na Pana Jezusa do wieczora i całą noc, niecierpliwie się ciągle.

Przeczekawszy noc całą napróżno, rano poszedł młynarz do krzyża. Tam uklęknął i począł wygadywać.

— Panie Jezu, powiedziałaś mi, że przyjdiesz do mnie. Ja wszystko przygotowałem na twoje przyjęcie, a ty nie przyszedłeś.

Lecz oto figurka Pana Jezusa na krzyżu się poruszyła i tak Jezus przemówił:

— Ja tam byłem u ciebie. Trzykrotnie chciałem wejść do twojej chaty, a ty mnie wypchnąłeś, skopałeś, kijem zbiłeś i psem mnie wyszczuleś. Patrz, twój pies ugryzł mnie w nogę i noga mi krwawi.

Spojrzał młynarz na figurkę i istotnie z nogi owej figurki krew sączyła.

Teraz zrozumiał młynarz okrop-

ność swoich czynów, wynikających z chciwości. Zawstydzil się strasznie i z głową spuszczoną skierował się w stronę domu. Sumienie go dręczyło:

— Widzisz, Jezusa z domu wypchnąłeś, psem go wyszczuleś, krew mu z nogi leci. Coś ty zrobił?

Uszedłszy kawalek, przystanął, wyprostował głowę, aż tu, o zgrozo! Dom jego stoi w płomieniach, młyn się pali. Ginie jego majątek.

Nie śpieszył jednak, by pożar gasić.

Rozumiał, że on Jezusa z domu wyrzucił, że go zbił i przeklął. To też z rezygnacją stał teraz złamany i patrzył na pożar, który niszczył mu wszystko, co posiadał.

Kiedy powrócił, zastał już tylko popioły i zgłiszczą, a przy nich żonę lamentującą.

Nie pozostało więc mu nic innego, jak postarać się o jakąś izdebkę, gdzieby mógł zamieszkać. Znalazłszy izbę, wprowadził się do niej z żoną.

A ta Bieda, która dawniej u gór-

nika mieszkała, wprowadziła się do młynarza.

To wszystko dlatego, że wypchnął z domu Jezusa.

Na tle legendy ludowej opracował: Jan Cieślak.

Wyciąć i starannie zachować

NINIEJSZY

**B O N**

udowadniający zakup nr. 220 „ILUSTRACJI POLSKIEJ” uprawnia Czytelnika do otrzymania wyższej zapomogi dobrowolnej, wypłacanej stałym abonentom „N A R O D O W C A” w razie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku przy pracy — w myśl warunków, ogłaszanych :-: w „NARODOWCU” :-:

# Miasto emigrantów i remigrantów ZAKLICZYN NAD DUNAJCEM.

Spojrzymy na mapę Polski. Oko obeznane z nią zauważy równiny i góry, miasta i miasteczka, wsie i osady. Wszędzie tam bytuje człowiek, ale jakżeż zróżnicowane jest jego życie, jakżeż przepaść dzieli spokojnego mieszkańca wsi od pochło-

nie dużo się zmieniło na lepsze; reszta pozostała na obczyźnie i tylko listy przynoszą wiadomości o ich życiu trudnym, mówią słowem prostym potęgającej się z roku na rok chęci powrotu do Polski, aby tu dokonać resztę życia.

mienie igrały złotą gamą blasków. W takich chwilach, człowiek zapomina o codziennych troskach i chętnie wraca do chwili minionych, snując wspomnień. Siedząc na ganku starego dworku, przysłuchiwałem się opowiadaniu nowego posiadacza, pańskiej niegdyś rezydencji.

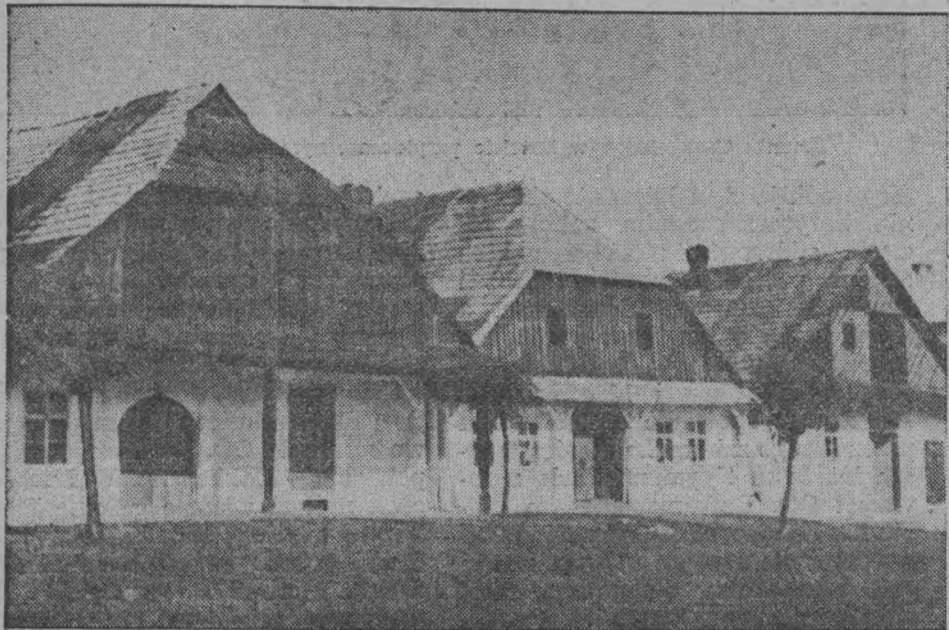
I tak pewnego dnia — kończył mój rozmówca — gdy już tęsknota za stronami rodzinnymi stała się nie do zniesienia, sprzedałem „farmę”, załadowałem się z rodziną na okręt i powróciłem do Polski. Przyjechałem do Zakliczyna i trafiłem na chwilę, gdy tuż obok pewien ziemianin parcelował swój majątek. Długo się namysławiając, kupiłem budynki i kilkanaście hektarów ziemi, sprzedałem z tego co mi było niepotrzebne i urządziłem sobie gospodarstwo, szczęśliwy, że nareszcie jestem w kraju i na swoim.

Mnie się tak nie poszczęściło, jak wam sąsiedzie — usłyszałem za sobą obcy głos, a gdy się obejrzałem, ujrzałem niestarego jeszcze chłopca, jak z pogodnym uśmiechem wyciągnął do mnie spracowaną rękę.

Ot, dużo by tu gadać — rzekł, siadając na wolnym krześle — zjeździło się kawał świata, a wkońcu wróciło tam, gdzie się człowiek rodził. To trudno, jak człowieka chwyci niepokój za serce, to mu nigdy spokoju nie da i nie ma miejsca, gdzieby się przed nim schronił. Wtedy musi się wracać do kraju, czy to



Lusławice — Pomnik na grobie arianki Radziwiłłówny.

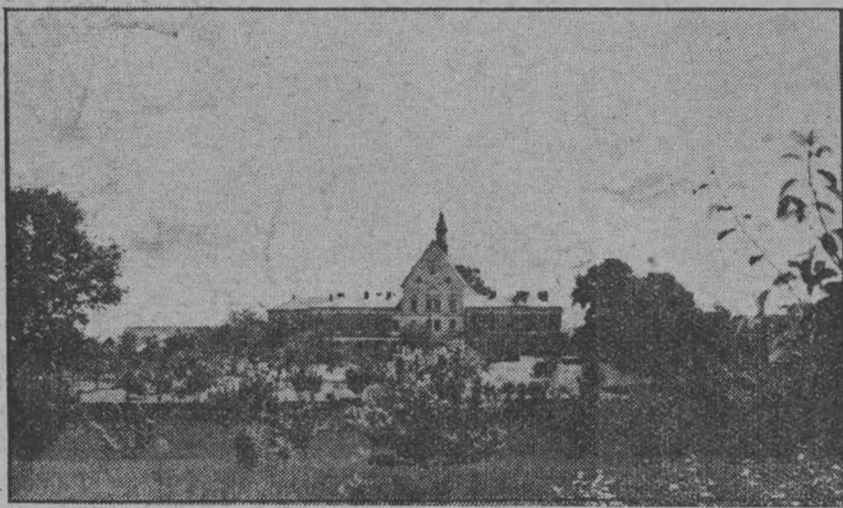


Zakliczyn — Stare domy z podcieniami.

niętego pełną nerwowości pracą mieszczaucha. Kontrast tym bardziej się uwydatni, gdy przerwujemy się nagle z milionowego miasta w odległą o setki kilometrów miścinę, gdzie nie dobiegnie nas niemiłkający warkot motorów, szybko sunących po asfalcie aut, dźwięk dzwonek tramwajowych, pojękliwy gwizd sygnałów fabrycznych, a oczu nie będą razić różnokolorowe światła neonów reklamowych. Odbądźmy wędrowkę do Zakliczyna, miasteczka położonego wśród niewysokich wzgórz Małopolskiej Zachodniej, w bliskości brzegów Dunajca, rzeki dziś sławnej na świecie, gdyż powstaje w niej przegrada, jedna z największych w Europie. Zaintersuje nas Zakliczyn i jego okolice z tego jeszcze względu, że dużo stąd ludzi wyruszyło w świat, szukać lepszej doli na emigracji. Wyruszyli z nadzieją zdobycia majątku, z myślą, że kiedyś powrócą do kraju z „dolarami”, zagospodarują się na nowo, tylko już lepiej, dostatniej. Niektórym szczęście dopisało, los oszczędził rozczarowań, dał fortunę w ręce, umożliwił powrót i ponowne osiedlenie; innych przynęcała tęsknota za ziemią rodzinną, niepowodzenia i wieści, że w Ojczyź-

### Remigranci wspominają...

Remigrantów znaleźć tutaj łatwo. Jest ich bardzo wielu i zdarzyło mi się gawędzić z nimi dość często. Szczególnie jedna rozmowa utkwiła mi w pamięci. Był cudowny wieczór,



Zakliczyn — Klasztor S. S. Franciszkanek.

jakie tylko w Polsce się zdarzają. Zachodzące słońce czerwieńło wierzchołki bujnie zieleniących drzew, a przesączające się przez listowie pro-

biedny, czy bogaty. A zresztą — dodał po chwili z powagą — i biedny i bogaty musi umrzeć, a już lżej człowiekowi na ziemi rodzinnej.

### Z minionej przeszłości.

Wracałem powoli do Zakliczyna. Wieczór stał się zupełny i miasteczko mrugało do mnie jasnymi kwadracikami oświetlonych okien. Z gęstniejącego mroku wylaniała się i szła ku mnie zasłyszana i z książek wyczytana historia tego miasta i jego okolic. A dzieje to stare, bo sięgające epoki jagiellońskiej, a nawet, jeśli chodzi o blisko położony Melsztyn, to Piastów on na pamięć nam przywiedzie.

Zakliczyn nazwę swą wywodzi od rodziny Zaklików i założony został za Zygmunta Augusta na gruntach dwóch wsi, istniejących do dzisiaj: Opatkowice i Lusławice. Po Zaklikach miasto przeszło w ręce Spytków z Melsztyna, aby z kolei znaleźć się w posiadaniu Stanisława Taszyckiego, właściciela Lusławic. W 1622 r. Zakliczyn stał się własnością Zygmunta Tarła, kasztelana sądeckiego, który, aby przeciwstawić się arianom, sprowadził tutaj zakon OO. Reformatorów i zbudował dla nich klasztor drewniany. Napad Szwedów w 1656 r. niszczy miasto, a po od-

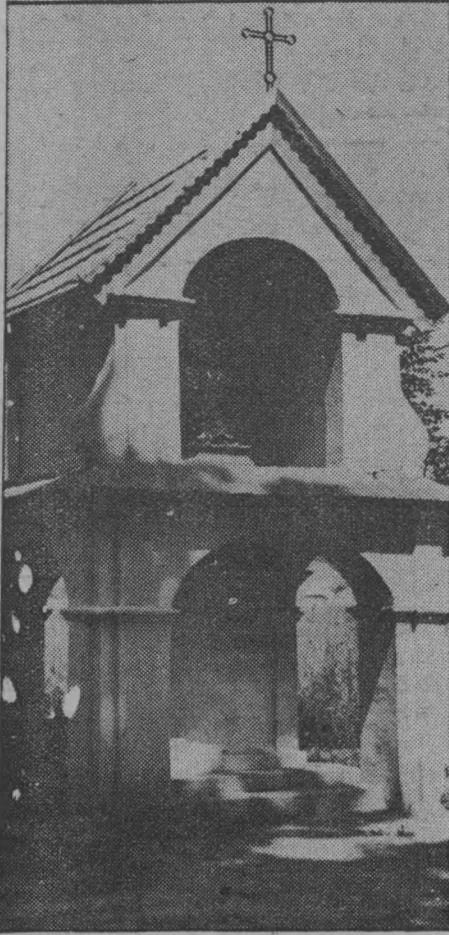


Zakliczyn — Ratusz miejski.

Zakliczyn — Kościół parafialny

Lusławice — Pomnik Fausta Socyna.





Zakliczyn — Kapliczka przy klasztorze OO. Reformatorów.

budowaniu przechodzi ono w ręce Lanckorońskich. Dalsze dzieje — należą do czasów nowszych. Po rozbiorach Polski, Zakliczyn znalazł się pod zaborem austriackim i od tej chwili datuje się jego upadek.

#### Zakliczyn leży w COP-ie.

Po odzyskaniu Niepodległości i zmianach administracyjnych, Zakliczyn stał się siedziskiem gminy zbiorowej, zarządzanej sprężysto przez wójta p. Zalasieńskiego Edwarda, a ostatnio znalazł się w granicach Centralnego Okręgu Przemysłowego. Ten fakt pozwala żywić nadzieję, że już niedługo zmieni się oblicze miasta i zadymią nad nim strzeliste kominy fabryczne, a cisza przyczajona u podcieni przysiadłych do ziemi domów pierzchnie, aby już nigdy tu nie powrócić.

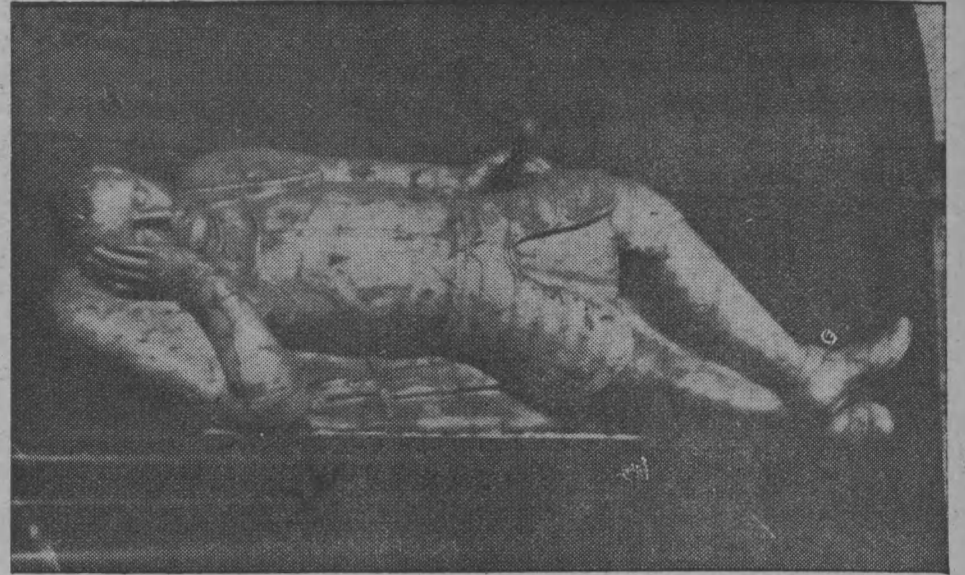
Cieszymy się z tego przyszłego rozwoju miasta — mówi p. Koczwarra Stanisław, naprawdę niestrudzony mój przewodnik po Zakliczynie i okolicy — ale zarazem żal nam trochę „Białego miasteczka”, jak go nazwał w swej książce J. Bandrowski, że straci wiele z dawnej swojskości. Może to i zbyt czyny sentymentalizm, ale my tu żyjemy wspomnieniem przeszłości i tradycją dawną.

Nie dziwią mnie te słowa. Setki lat kształtowały naturę tych ludzi, więc trudno wymagać od nich, aby wyczuli się od razu swych przyzwyczajęń, umiłowani czy uprzedzeni.

#### Dzisiejsze oblicze Zakliczyna.

Przyjrzyjmy się z bliska dzisiejszemu stanowi Zakliczyna, obejrzymy miasto z jego zabytkami, które

przetrwały mimo burz i niepowodzenia dziejowe, aby mówić do nas legendą przeszłości. Gdy piękną szosą, wijącą się wśród niewysokich wzgórz dostaniemy się ze stacji kolejowej Gromnik do pierwszych domów Zakliczyna, a wąska ulica zaprowadzi nas na rynek, znajdziemy się w środku miasta. Jest to duży kwadrat wybrukowanego placu otoczony drewnianymi domami z podcieniami, które tu stanowiły niegdyś zwarte ściany, dziś poprzerywane przez domy murowane, parterowe i piętrowe. Na środku rynku rozsiadł się szeroko ratusz miejski, a naprost niego szkoła odcina się ciężkim blokiem od niskich domów drewnianych. Boczna ulica z rynku dostaniemy się do kościoła parafialnego, pięknej budowli w stylu barokowym z XVIII w. Podczas najazdu szwedzkiego kościół drewniany uległ zniszczeniu. W 1739 r. rozpoczęto budowę murowanego kościoła, dokończoną przez Lanckorońskiego w 1768 r. Z niewyjaśnionych przyczyn runęła w 1895 r. wieża kościoła, uszkadzając poważnie sklepienie. Dopiero w latach 1914 — 20 nadbudowano wieżę, przywracając kościołowi pierwotny wygląd. Tuż obok bramy w murze, okalającym kościół, mały domek ze śliczną płaskorzeźbą głowy Chrystusa na froncie, rzeźbionej w drzewie, przypomina o wielkodusznym legacie Józefa Gałkiewicza, fundującego w 1807 r. zakład dla ubogich. Na ofiarność obywateli Zakliczyna natknijmy się ponownie przy zwiedzaniu niedaleko od kościoła wybudowanej ochronki



Pomnik Taszyckiego w kościele przyklasztornym OO. Reformatorów.

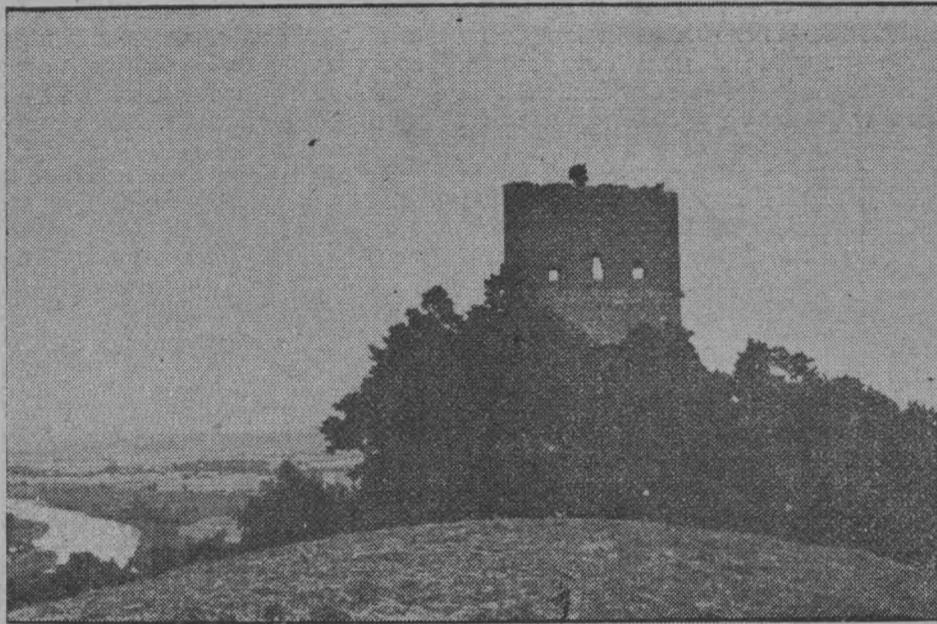
długo odbija się o łukowate sklepienia korytarza, zanim uchylą się ciężkie oddrzewia i ukaże się w nich ciemna postać zakonnika. Cisza i skupienie panują w klasztorze, a prostota łączy się tutaj z nabożną surowością mnichów. Wśród tej ciszy, dziwnie brzmi historia tego klasztoru, opowiadana półgłosem przez siwego zakonnika. Z górą trzydzieści lat temu Zygmunt Tarło sprowadził OO. Reformatorów do Polski i w Zakliczynie odbyła się pierwsza kapituła nowego zakonu. Klasztor, początkowo drewniany, uległ zniszczeniu przez Szwedów, a odbudowany na innym miejscu spalił się w 1815 r. Odbudowany ponownie przetrwał do chwili obecnej, a po-

cych czas na modlitwie i pokucie. Od tego miejsca, przecinając gościńiec biegnący do Zakliczyna, po paru minutach zawędrujemy do Ludosławic, wioski skrytej wśród sadów i drzew przeróżnych, związanej nierozzerwalnie z Zakliczyna, gdyż tu właśnie był ośrodek ruchu arianskiego i dla zwalczania tej sekty sprowadził Tarło OO. Reformatorów do pobliskiego Zakliczyna. W Lusławicach znalazł właśnie gościnnie Faust Socyn, gorliwy arianin, gdy uchożąc przed prześladowaniem z Włoch schronił się w Polsce. Początkowo przebywał on w Krakowie, ożenił się z Morsztynówną, później zaproszony przez Taszyckiego zamieszkał w Lusławicach gdzie umarł w 1604 r. Pobyt Socyna w Lusławicach przyczynił się, że stały się one „drugą po Rakowie stolicą arianizmu w Polsce. Tu mieściła się tajna drukarnia, wznosił się zbór i słynna poza granice kraju uczelnia. Tu odbywały się synody, tu szukali schronienia skłaniający się ku reformacji cudzoziemscy uczeni. Po wygnaniu w r. 1666 arianskich kacerzy z Polski zbór i szkołę zrównano z ziemią — bujna przeszłość Lusławic poszła w zapomnienie”.

#### Pomnik Fausta Socyna.

Polacy w Ameryce być może zetknęli się kiedyś z broszurą w języku angielskim p. t.: „The grave and monument of Faustus Socinus at Luslawice”, napisaną przez prof. dr. Earl Morse Wibur, i kreślącą dzieje budowy pomnika Fausta Socyna w Lusławicach. Pomnik ten wzniesiony został w parku dworu lusławskiego, miejscu pobytu proroka arianizmu. Aby się do niego dostać minąć trzeba bramę w ogrodzeniu z siatki drucianej, okalającej posesję.

Korzystając z uprzejmości obecnych właścicieli dworu w Lusławicach, odbywam wędrowkę po parku, kroki swe kieruję do grobowca Fausta Socyna. Odnajduję pomnik w bocznej alei. „Grobowiec zbudowany w klasycywnym stylu — przytaczam na tym miejscu słowa dr.



Melsztyn — Ruiny zamku.

dla dzieci, prowadzonej przez SS. Józefinki a ufundowanej przez rodzicielstwo Karola i Marię Szymanowiczów w 1935 r.

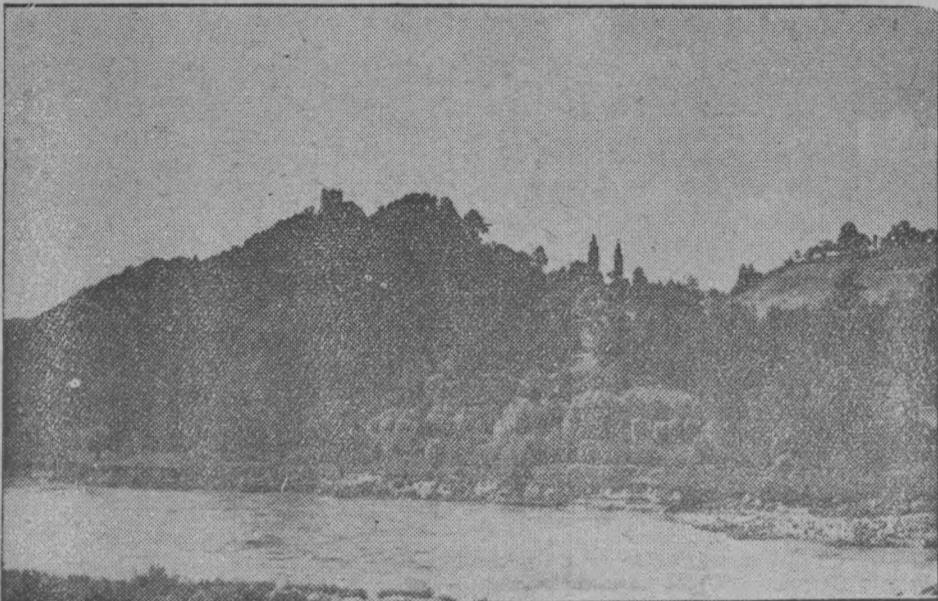
#### Siedziba O. O. Reformatorów.

Na drugim końcu miasta, a raczej już poza miastem, wśród rozrosłych stuletnich lip, bieleją widne zdala mury klasztoru OO. Reformatorów. Głośny dźwięk dzwonu, szarpniętego ręką zwiedzającego,

teżne jego mury świadczą, że nieprędko nadwyreży go ząb czasu. W kościele przyklasztornym raduje oko piękna polichromia Zygmunta Aleksandra Taszyckiego, kuty w marmurze, a wystawiony przez wdowę po nim.

#### Lusławice — niegdyś siedziba arian.

Polna droga poza klasztorem zawiedzie nas do klasztoru SS. Franciszkanek, siedziby siostr, spędzają-



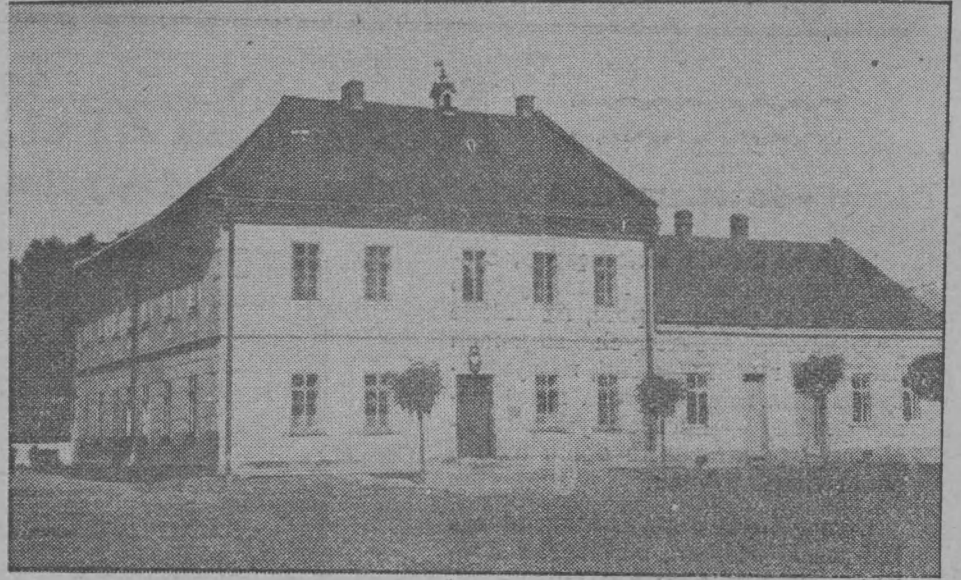
Melsztyn — Ruiny zamku, w dole Dunajec.



Zakliczyn — Klasztor O.O. Reformatorów.



Lusławice — Dwór.



Zakliczyn — Gmach szkoły powszechnej.

Rybczyńskiego, opisującego dzieje grobowca — z ciepłego żółtego dolomitu, równie trwałego jak granit, lecz o wiele żywszego, wznosi się malowniczo na tle drzew i zieleni, za którymi widnieją lesiste wzgórza, okalające łagodnym wieńcem uroczą dolinę zakliczańską. Cztery monolitowe żłobione kolumny wyrastające z podstawy o dwóch stopniach, płaski dach pokryty miedzią. W środku na kwadratowej podstawie, historyczny kamień w kształcie sześcianu, leżący niegdyś na grobie Socyna. (Grób ten znajdował się w innym miejscu, dokładnie nie ustalonym, dopis. mój). U góry złożony napis FAUSTUS SOCINUS 1539 — 1604. Tło pomiędzy kolumnami wypełnia szara granitowa płyta z napisem:

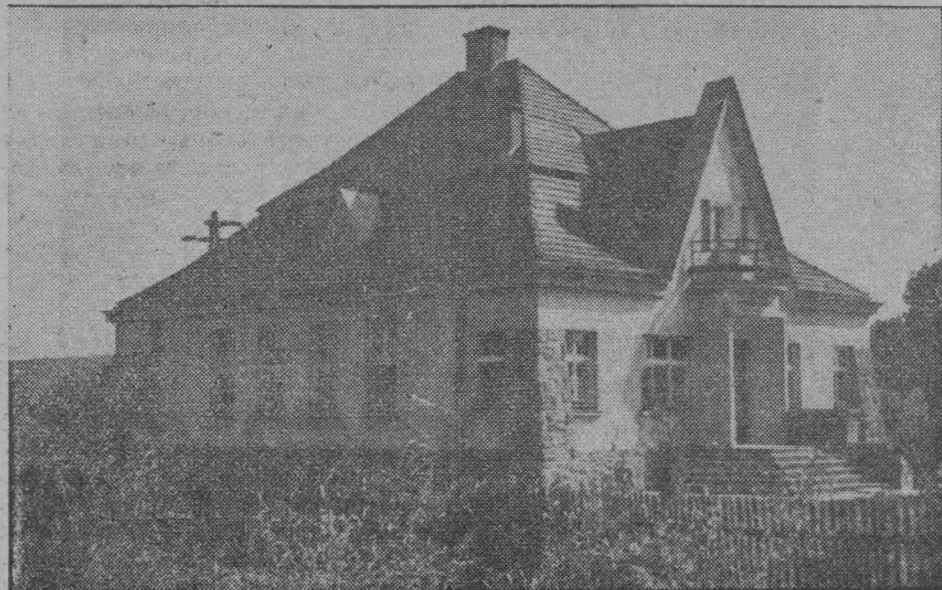
In memoriam  
Fausti Socini Itali  
nati Seris Dec. 5. 1539  
denati Luclaviciis Mar. 3. 1604  
et in recognitione laborum eius  
pro libretate, ratione et tolerianta  
in religione  
posuerunt 1933  
cultures in Europa, Anglia, America  
Qui semina virtutis raccoglie fama  
E vera fama supera la morte.

Werset włoski: (Kto sieje cnotę, zbiera sławę a prawdziwa sława silniejsza nad śmierć), to napis, którego niezatarte fragmenty widnieją jeszcze na przedniej stronie kamienia.

U dołu pomnika umieszczono pękniętą płytkę piaskowca, a do której przywiązana jest legenda, jakoby pękła z hukiem i wśród niesamowitych okoliczności, gdy pewien gospodarz zabrał ją z grobu Socyna, aby użyć na próg przed wejściem do domu. Oczywiście po takiej niespodziance ów gospodarz odniósł ją czym prędzej na dawne miejsce, wychodząc z załączenia, że lepiej nie zaczynać z „nieczystymi siłami”. Pod pomnikiem znajduje się krypta, gdzie miano umieścić szczątki Socyna, których jednak nie udało się odnaleźć.

**W dworku, gdzie mieszkał Malczewski.**

Ale przerwijmy dumania nad dziwnymi kolejami życia proroka arianizmu, którego losy z słonecznej Italii aż do Polski przygnały i powróćmy przed biały dworek. Z prawej jego strony ciemny kształt budynku znów nam arian na pamięć



Zakliczyn — Ochronka dla dzieci.

przywieździe, gdyż tu mieściła się ich kaplica, ale gdy przez wsparty na białych kolumnach ganek wejdziemy do środka dworku, wiszące na ścianach obrazy przypomną nam innego człowieka, który tu w ciszy, sycąc oczu wspomnianymi widokami, przemieszkał szereg lat. Mam na myśli Jacka Malczewskiego, arcyministra polskiego malarstwa, niezapomnianego odtwórcę poetyckich wizji. Pobyt w dworku lutostawskim był dla tego genialnego malarza z pewnością jednym z najpiękniejszych okresów życia i dał mu niejedną chwilę natchnień, wyrażoną w symbolicznych kompozycjach malarskich.

Na ruinach zamku melsztyńskiego.

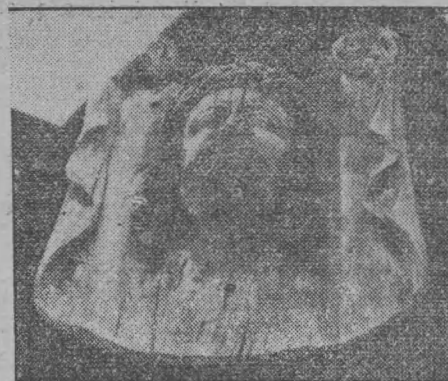
Z wzniesienia, na którym stoi dwo rek lusławicki rozległy widok pozwala na ogarnięcie olbrzymiej przestrzeni, aż hen po Dunajec, aż wzrok

oprze się o jego brzegi wysokie i zatrzyma się z zachwytem na ruinach zamczyska melsztyńskiego, ostrą i gładką wieżycę zda się chmury przeciągające na strzepy szarpiającego. Droga z Lusławic do ruin prowadzi przez Zakliczyn, a później jeśli ktoś lubi błądzenie po polach niech porzuci gościniec i ścieżkami, mając

niech rozpocznie wspinaczkę pod górę, aby osiągnąć wreszcie cel swej wędrówki i znaleźć się wśród ruin, wspaniałego niegdyś zamczyska. Historyk tak opisuje dzieje zamku: „Pierwotnie zamek, zbudowany podług herbarzy w 1079 r. przez Spycymira, protoplastę Melsztyńskich, składał się ze stróży t. j. wysmukłej wieży. Do tej wieży dobudowano w 1330 r. pomieszkanie zamkowe i okop, które otoczyły mały dziedzińiec z cysterną. Potężna ściana domu wraz z rowem broniły tego grodu od strony pasma górskiego. Praw dopodobnie za Kazimierza Jagiellończyka zamek zniszczony, odbudowano ponownie. Po wygaśnięciu rodziny Melsztyńskich w XV w. przeszedł zamek na Tarnowskich, którzy z tamtą rodziną byli spokrewnieni, następnie przez małżeństwo, na Jordanów. Gdy ta linia Jordanów na Warzyńcu Spytka, kasztelanie krakowskim w 1558 r. wygasła, objęli Melsztyńscy, po nich Tarnowie, a w końcu Lanckorońscy. Zamek został w r. 1771 opanowany przez konfederatów barskich, ale wkrótce po nich przybyli kozacy i jeli zamek zdobywać. Podczas obrony wszczął się pożar i zniszczył tak dalece starożytną budowlę, że jej nie odbudowano”. Ostatecznego zniszczenia dokonała ręka ludzka, wydobywając kamień i cegłę na budowę domów. Pozostały jedynie dwie ściany wieży narożnej i pas murów części mieszkalnej. Trudno na podstawie tych fragmentów odtworzyć sobie niezdołyte gniazdo dumnych panów na Melsztynie. Warto jednak zdać sobie trud i wdrapać się na niedostępną skalę, aby móc okiem ogarnąć olbrzymią połać kraju, nad którym panuje jeszcze cisza i spokój, ale być może w otę przyjdą tu armie robotników i tchną w pozornie zamarłe okolice nowe życie. I tylko niesforny Dunajec rzuca w wały i przegrodzonv tanami, burzy się będzie rok rocznie upity powodzią, a bezsilny w swej złości poniesie posłusznie swe wody w kierunku Wisły.

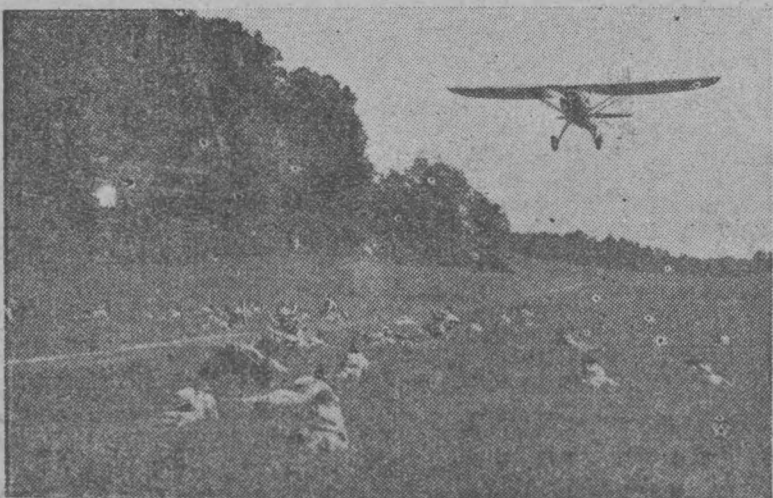
Zbigniew Krygler.

Wszystkie zdjęcia autora.



Rzeźba Chrystusa na jednym z starych domów Zakliczyna.

**Zbrojenia Ameryki.**

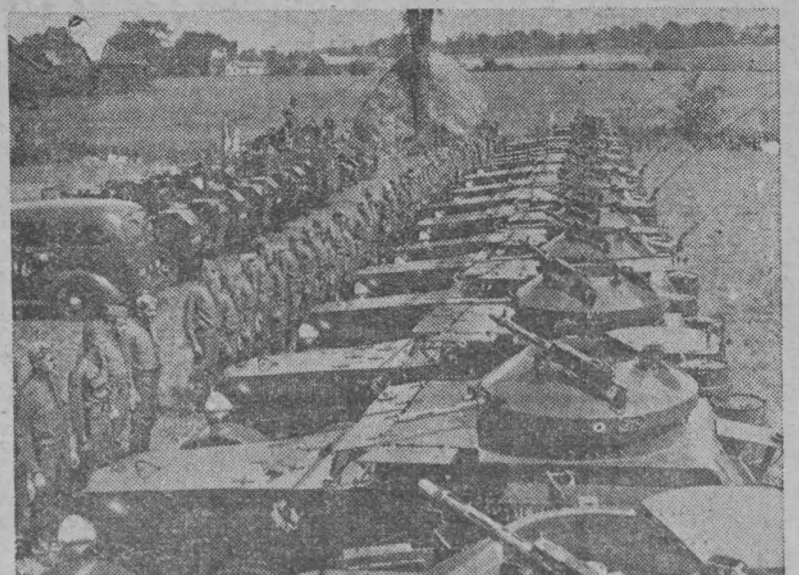


**Armia amerykańska podczas ćwiczeń przeciwlotniczych.**

Żołnierze amerykańskiej gwardii republikańskiej ćwiczą się w obronie przeciwlotniczej z nowym aparatem, używanym obecnie w armii amerykańskiej.

**Ameryka w pogotowiu bojowym.**

„Armia żelaznych koni” jednostki sił wojskowych St. Zjednoczonych A. P. w Knox. Maszyny te brały udział w specjalnych ćwiczeniach, określających szybkość zmotoryzowanej armii St. Zjednoczonych.



# Nasi skrzydlaci przyjaciele.

**Ptaki - towarzysze wieśniaka. — Bociany, jaskółki, skowronki, zwiastunami dobrych wieści.**

Spośród świata zwierzęcego, otaczającego wieśniaka i umiłującego mu znojną pracę w polu, na obficie jego potem zroszonych zagonach szczodrej matki — ziemi, najsympatyczniejsza rola przypada milej rzeszy ptaszej — skrzydlatym przyjaciołom i towarzyszom doli i niedoli pracowitego rolnika.

Szczególnym sentymentem otacza lud polski bociana, z chłopska zwanego boćkiem albo Wojtkiem. Według wierzeń i podań ludowych bocian, który przybywa zza mórz na św. Józefa, pozostaje u nas tak długo, póki święty Bartłomiej obrany mi z chmielu tykami nie zapędzi żab do błota. Na ówczas dopiero bocian, nie mogąc żadnej już żab znaleźć na pożywienie, odlatuje za morze.

Wieśniacy starannie przygotowują na swych siedzibach gniazda dla bocianów. Umieszczają w tym celu stare brony lub koła na budowach szopach, stodołach lub drzewach wyniosłych przy domu. Zagnieżdzenie się bociana wróży gospodarzowi szczęście i obfitość. Dlatego tej wieśniacy, u których zagościły bociany, cieszą się ich przybyciem, uważają, aby nie hałasowano, stukano na podwórzu, by nie rąbano drzew, nie płoszono tych ptaków, a nawet nie pozwalają im się przypatrywać, zostawiając je w spokoju, aż do wylęczenia młodych, których widokiem cieszą się jeszcze więcej. Zabicie bociana uważają za ciężki występki, gardzą człowiekiem, który się tego dopuścił, uważają podobny czyn prawie za grzech śmiertelny nigdy nie odpuszczony. Boćki też — jakby wiedziały o tym poszanowaniu dla nich — nie boją się ludzi, nie uciekają od nich nawet na bliską metę i stały się prawie na wpół oswojonymi ptakami domowymi.

Zakładając bronę lub koło na gniazdo bocianie, opuszczają się je zazwyczaj trochę niżej ku zachodowi, aby je lepiej uchronić od porywów zachodnich wiatrów. Panuje przekonanie, iż bociany szczególnie chętnie osiadają w gnieździe, w którym umocowano kawałek czerwonego sukna lub jakiegokolwiek świecidełka.

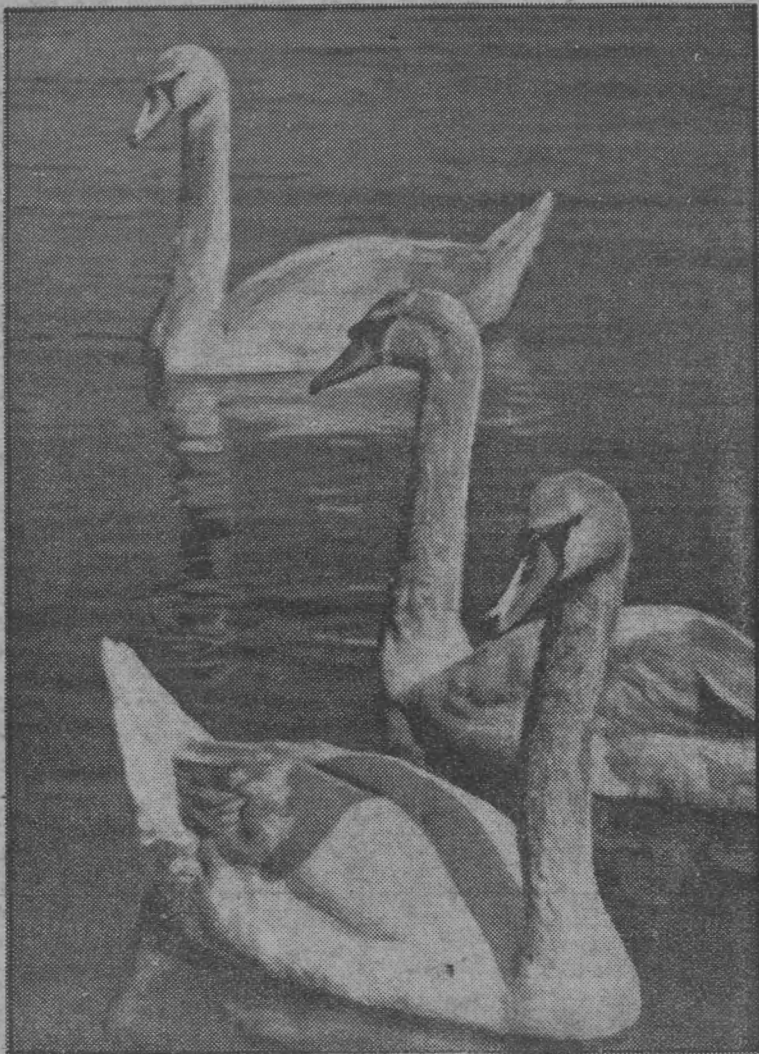
— Kto — według zabobonu — po raz pierwszy na wiosnę zobaczył lecącego bociana — znak to dobry, bo ciana zaś siedzącego — cały rok zapowiada się zły. Jeśli kto w obrębie siedziby, w której gnieździ się bociany popełni jakiś czyn haniebny, a one o tym się zwiędzą, nigdy już gnieździć się nie będą.

## Sejm bociani.

Opowiadają o bocianach, że przed odlotem do ciepłych krajów, zbierają się one na radę, zlatują się w jedno miejsce, formują nawet w pewne szyki. Dowódcy obchodzą te szyki, klekocą jakgdyby przemawiały, oskarżają występnych przed całą gromadą, a ta wydaje na nich wyrok śmierci. Wszystkie bociany tłuką skazanego osobnika skrzydłami i dziobami, dopóki on nie straci życia.

★

Niedostępnym i umiłowanym towarzyszem rolnika jest skowronek. Według wierzeń ludowych, skowronek zasypia na zimę pod miedzą na polu. W połowie zimy obraca się na drugą stronę i śpi aż do wiosny.



Rodzina labędzi.

Najwcześniej z ptaków, bo już w lutym wylatuje on świat i choćby był mroz, slychać go już w święto Matki Boskiej Gromniczej. Skowronek cieszy się szczególną łaską u aniołków, które go trzymają w rękach i pieszczą, a kiedy się błyska — pozwalają mu dojrzeć drogę do nieba.

Słowik przylatuje w kwietniu, aby zanucić Najświętszej Pannie Bolesnej. Przed Wniebowzięciem odfruwa z gęstwiny do borów, aby zwołać ptactwo, które ma zaśpiewać pieśń wstępującej do nieba. Matce Boskiej i Jej w podróży towarzyszyć. Lecz ptaszki te już na ziemię nie wracają, tylko śpiewają odtąd w raju.

## Jaskółka zwiastuje radość.

Jaskółka przylatuje zwiastować synaczka Najświętszej Marii Pannie a ludziom — radość i wiosnę. Lecz przedtem ucieka na trzy doby do lasu osuszyć się z wody, z której wyleciała. W jesieni bowiem — według wierzeń — siadają jaskółki na trzei

nie, rosnącej ze stawu i siedzą na niej tak długo, póki się nie załamię, po czym wpadają do wody i śpią w niej aż do wiosny. Kto z wielu zebra nych razem ludzi pierwszy zobaczy jaskółkę skoro wraca na wiosnę, ten zazwyczaj na cały rok wróży sobie szczęście i pomyślność.

Nie wolno wybierać młodych jaskółek z gniazd! Grzechem wielkim jest psucie gniazd jaskółczych, znajdujących się pod strzechą albo w ko minie. Niektórzy wieśniacy wystrzegają się nawet patrzeć za nadlatującą do gniazda lub wylatującą jaskółką, bo rozgniewana, gdy upuści swój pomiot na oko człowieka, może go natychmiast przyprawić o ślepotę.

Swawolną dowcipnisią i figlarką jest kukułka czyli zazała. Kukułka wtedy dopiero zaczyna kukać, kiedy pęka brzezina, a ona może się ukryć pod jej listkiem zielonym. Przestaje zaś kukać na św. Piotra i Pawła, gdyż hałasować wolno jej tylko tak długo póki nie zaśnie zboże.

Skoro kukułkę usłyszy kto ze starszych ludzi, liczy starannie ile razy ona zakuka, a tyleż lat jeszcze wróży dla siebie.

Jeśli przy pierwszym zakukaniu kukułki człowiek ma pieniądze przy sobie, niech potrząsa kieszenią i rachuje te pieniądze, a będą się go trzymały przez cały rok. Gorzej, jeśli kukułka nie zostanie przy słyszającym ją pieniędzy — takiemu przez cały rok dokuczać będzie bieda.

Kukułkę zwią szlachcianką, bo mało zajmuje się swymi młodymi. Podrzuca bezceremonialnie ją innym ptakom, najczęściej pliszce, która słynie z dobroduszości i opiekuje się podrzuconymi sierotami jak własnymi dziećmi.

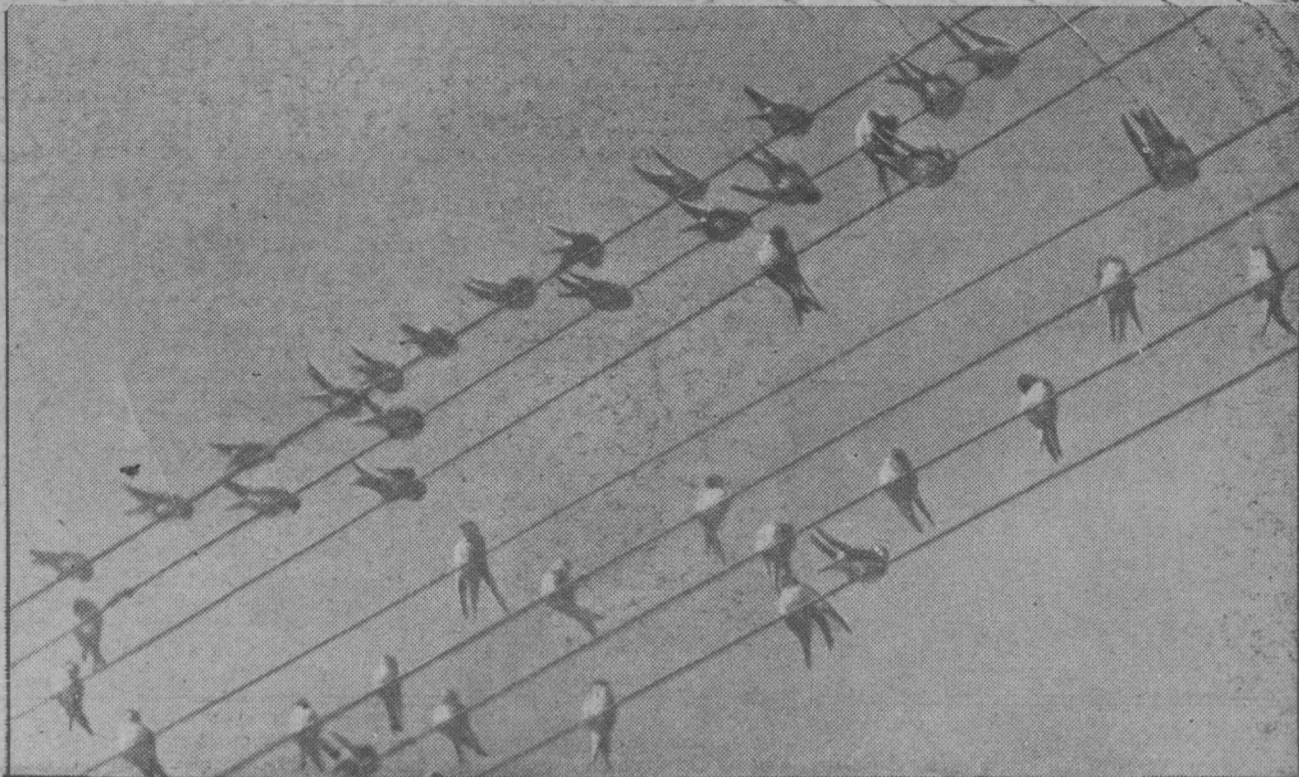
Innym ptasim wyrokiem jest sroka-złodziej. Jeśli sroka lata około domu, po ogrodzie albo przysiadzie tu i ówdzie na płocie krzycząc, powiadają, że gości trzeba się spodziewać. Zabitą srokę furmani zwykli wieszac w stajni przy koniach nad żłobami, aby się konie „sprawiały” tj. dobrze jadły i prędko się tuczyły.

Wilga umie zgadywać kiedy ma być slota. A gdy już o tym jest upewniona, śwista jak chłop, chcąc tym sposobem wywołać słowo: — deszcz!

## Nietoperz — złe duchy.

Nietoperze latające co wieczór, w czasie pogodnych i ciepłych wiosennych i letnich nocy nazywają wieśniacy złymi duchami. Mówią, że nietoperze mijają się w różne strony dlatego, żeby znaleźć człowieka, który piekłu poślubił duszę. Jeśli go nietoperz znajdzie, wkręca mu się we włosy i urywa łeb potępionemu, aże by jego duszę zabrać do piekła. Dlatego, kto ma długie włosy i wyjdzie z chaty z odkrytą głową, skoro nadlatuje nietoperz chroni się od niego i ucieka. Gdy w dzień znajdują nietoperza, brzydzą się nim i spluwają jak na „złe”, a nikt nie ośmiela się go wziąć do rąk.

Grabki i widelki nietoperza mają wielki wpływ na los ludzki. Czarownice złapanego żywego nietoperza sadzają na mrowiska, wyjmują potem jego szkielet, gdy mrówki mięso objedzą z kości, oddają chłopakowi-kawalerowi widełki piersiowe nietoperza, resztę zaś palą w glinianym garnku, rozcierają i dają do wypicia w wódce dziewczynie, którą on kocha. Podobno środek ten stanowi doskonały lubczyk... J. Bar.



Jaskółki naradzają się przed odlotem do ciepłych krajów.

Travail exécuté par  
des ouvriers syndiqués



Imprimerie „NARODOWIEC” (M. Kwiatkowski)  
rue Emile Zola — LENS

(Reg. de Com.: Béthune nr. 21231).  
Le Gérant: Stanisław Ostojak — LENS  
Za ogłoszenia Redakcja nie odpowiada.